Nr. 35. Warszawa, dnia 2 Września (21 Sierpnia) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NA JARMARKU.

Jarmark doroczny niżno-nowogrodzki jest każdorazowo wielkim aktem w życiu ekonomicznem Rosyi. My, którzy do wyrazu „jarmark“ zwykliśmy przywiązywać takie wyobrażenie, jakie nam wytworzyły widoki targów w Łowiczu lub Skaryszewie, nie możemy mieć należytego pojęcia, czem jest olbrzymie targowisko nowogrodzkie. Dość powiedzieć, że jego obroty w najpomyślniejszym r. 1881 dosięgły 246 milionów rubli. Wszelkie jarmarki są przestarzałemi formami wymiany towarów, a zwłaszcza jeden czynnik ekonomiczny, rozwijający się ciągle z nadzwyczajną szybkością, zadaje im ciosy śmiertelne. Mówimy o drogach żelaznych. Dopóki tych środków komunikacyjnych nie było wcale lub istniały w niedostatecznej mierze, produkcya materyalna musiała posługiwać się odwiedzanymi co czas jakiś przez gromady ludzkie rynkami. Dzięki kolejom wytwórca może ustawicznie, prędko i na wszystkie strony rozrzucać swoje wyroby, a spożywca nie potrzebuje zaopatrywać się w nie tylko w pewnych określonych terminach i miejscach oraz gromadzić zapasy. Z pod tego prawa upadku nie zdołały się wyłamać nawet jarmarki europejskiej sławy—jak np. lipskie, które z każdym rokiem mają mniej uczestników, a niezadługo może pozostaną wspomnieniem historycznem. Temuż losowi ulega również jarmark niżno-nowogrodzki, którego obroty w ciągu lat 10 (1881—1891) spadły o 78 milionów rubli. Jeżeli zaś on dotychczas pozostaje kolosalnym zbiorem ludzi i towarów, to dlatego, że wschód Rosyi, który z niego głównie czerpie produkty jej zachodu, nie posiada drogi żelaznej. Łatwo stąd wywnioskować, że budowana kolei syberyjska zabije to targowisko, a przynajmniej do bardzo skromnych sprowadzi je rozmiarów. Mieszkaniec z pod Uralu lub z pod Leny nie będzie potrzebował jeździć do Nowogrodu, ażeby tam sprzedać swoje materyały surowe lub kupić przeroby, gdyż całą tę operacyę załatwi za pomocą wielkiej arteryi kolejowej. Arterya ta wszakże jeszcze nie istnieje, a kiedy nawet zostanie ukończona, nieprędko doczeka się rozgałęzień niezbędnych dla ruchu handlowego. Chociaż więc jarmark niżnonowogrodzki stracił już dawne znaczenie i traci je corocznie, pozostaje dotychczas ze swoimi stu kilkudziesięcioma milionami rubli obrotu pierwszorzędnym momentem życia ekonomicznego Rosyi i — rzec można — jej ekonomiczną uroczystością.

Na tę uroczystość zwykli przybywać dostojnicy państwowi, a zwłaszcza, jako naczelny zawiadowca handlu — minister skarbu. Przyjechał i teraz, a powitany przez kupców, miał do nich dłuższą przemowę, która zasługuje na poznanie, gdyż nie tylo dotyczy samego jarmarku, ile obecnego kierunku finansowej polityki państwa. Jak wiadomo, główną jej dążnością jest wyzwolenie go z pod zależności od zagranicy, a przedewszystkiem od Niemiec. Otóż tę sprawę podniósł w swej mowie p. minister. Odpowiadając przedstawicielowi kupiectwa (który wyraził gotowość swego stanu do poświęceń w walce ekonomicznej z innymi krajami), rzekł: „Bardzo mi przyjemnie słyszeć zdanie, wypowiedziane przez pana w imieniu kupiectwa o warunkach, w jakich obecnie się znajdujemy. Chcieliśmy szczerze uniknąć tego, co zaszło i wyraziliśmy życzenie jaknajrychlejszego zakończenia dla obu stron rujnującego stanu rzeczy, ale gorące pragnienie normalnego toku spraw nie może zapobiedz myśli o przyszłości. Byłoby więcej, niż lekkomyślnie, gdybyśmy dla osiągnięcia spokoju w teraźniejszości, przyjęli zobowiązania, mogące zachwiać siłami produkcyjnemi Rosyi. Nie domagamy się od Niemiec żadnych ofiar. Życzenia Rosyi streszczają się jedynie w tem, aby jej sąsiad, z którym Rosyę wiążą wiekowe stosunki przyjacielskie, traktował nasz przywóz tak samo, jak traktuje przywóz wszystkich krajów świata. Nie żądamy od Niemiec żadnych obniżek taryfowych, którychby one już nie były przyznały całemu światu. Gdyby Niemcy mogły dojść do zupełnego zrównania Rosyi z innemi krajami za pomocą podwyżki swojej taryfy, to przyjęlibyśmy także i takie rozwiązanie. Równając Rosyę ze wszystkiemi innemi państwami, Niemcy oczywiście nie mogą wyrządzić swojemu życiu ekonomicznemu żadnego uszczerbku, gdyż wszystko jedno dla nich będzie, czy potrzebny jej produkt będzie przywieziony z Rosyi, czy z jakiegokolwiekbądź innego kraju. Żądania Niemiec jednak noszą zupełnie inny charakter. Rosya do ostatnich dni nigdy nie stosowała względem Niemiec cięższych norm celnych, niż te, które przyznawała innym krajom, i zachowywała równą taryfę dla wszystkich. Rząd niemiecki domaga się obniżenia tej dla wszystkich jednakowej taryfy celnej. My więc pragniemy tylko tego jednego, aby Niemcy traktowały nas tak samo, jak wszystkich innych — rząd zaś niemiecki nie poprzestaje na tem i nadto wymaga obniżenia naszej taryfy, ustanowionej wyłącznie z uwzględnieniem wewnętrznych potrzeb Rosyi. Podobne żądania sprowadzają kwestyę wzajemnych stosunków celnych na tory targu, na tory samowolne i dlatego też, jak przekonywa to, co zaszło, bardzo śliskie. Po za zasadą swobodnego stanowienia przez każde państwo taryf, stosownych do swoich potrzeb wewnętrznych, z jedynym tylko obowiązkowym warunkiem zupełnie jednostajnego stosowania tej taryfy do wszystkich krajów przyjacielskich — nie istnieje żadna inna trwała zasada dla taryf celnych, jako sprawiedliwych stosunków międzynarodowych. Odstąpienie od tej zasady rozbudza

antagonizm i może spowodować cały szereg niespodzianek handlowych; między innemi zdarzyć się może, że z obniżek, o które Niemcy się dla siebie dobijają, skorzystają w znacznej mierze ich współzawodnicy na rynku ruskim. W każdym razie nie podlega wątpliwości, że obecne położenie rzeczy jest dogodnem tylko dla konkurentów Niemiec i Rosyi. Ale nie ma złego bez dobrego. Obecne wypadki wykazały z całą siłą, jak daleko świadomość społeczna w Rosyi i w Niemczech pragnie pokoju i spokoju. Jest to niezawodnie w wysokim stopniu pocieszający fakt, a przy jego istnieniu można się spodziewać, że zdrowy rozum odniesie zwycięstwo, zmuszając do wytwarzania zgody na gruncie słusznego poszanowania zobopólnych interesów."

W mowie tej niema słów wyzywających i drażniących sąsiada, przeciwnie są w niej nawet wyrazy przyjacielskie dla Niemiec, ale jest zarazem stanowcza zapowiedź, że Rosya nie myśli im robić żadnych ustępstw i zamierza odzyskać samodzielność ekonomiczną w najwyższym możliwie stopniu. Gdyby tedy pod tym względem zachodziła jeszcze jakakolwiek wątpliwość, wystąpienie p. ministra na jarmarku powinnoby ją usunąć.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gdyby nie ta okoliczność, że wszelka wypadkowa woli mas kryje w sobie mnóstwo niewiadomych, możnaby z rezultatu ostatnich wyborów francuskich dziwne wyciągnąć wnioski. Gdy odsłonięto tajemnice sprawy panamskiej, a zwłaszcza gdy w niej odkryto wielu posłów i ministrów, rząd drżał na myśl, ażeby naród, powołując nową Izbę, nie objawił wstrętu ku rzeczpospolitej. Pomimo więc, że z wielu stron domagano się rozwiązania parlamentu, Carnot wolał utrzymać dawny, chociaż splamiony, niż zdecydować się na nowy, który mógłby wzmocnić żywioły antirepublikańskie. Jeszcze błoto panamskie nie wyschło, kiedy musiano naznaczyć nowe wybory. Naturalnie każdy logiczny umysł przewidywał, że one „oczyszczą" Izbę. Tymczasem co się stało? Prawie wszyscy oskarżyciele w sprawie panamskiej utracili swoje mandaty, a oskarżeni je otrzymali. Nawet Andrieux, który przedstawił kopię fotograficzną słynnej książki czeków, nie został wybrany. Nie dość tego, sponiewierany, napiętnowany handlarz orderów Wilson wyszedł z urny zwycięzcą. Czy patrząc na ten zdumiewający wynik głosowania nie możnaby mniemać, że naród francuski uczuł sympatyę do panamczyków a nienawiść do tych, którzy ich zdemaskowali i że na defekty moralne nie jest wrażliwy? Zaiste, byłby to wniosek uzasadniony.

Dzienniki angielskie z *Timesem* na czele wszczęły alarm, głosząc, że Francya, egzekwując na syamczykach warunki przebaczenia im winy, chce rozciągnąć swą władzę nad połową tego kraju i faktycznie nadziać go swoimi interesami. Rozumie się, sprawa ta obchodzi głównie anglików, którzy też usiłują powstrzymać zbyt chciwe ręce sąsiadki.

Bill irlandzki przyjęty został przez Izbę gmin w trzeciem czytaniu i powędrował do wyższej. Lordowie przygotowują mu pogrzeb. Ich zdaniem naprzód jest on zrobiony niedołężnie, a powtóre kraj nie wyraził dostatecznie swej zgody na taką reformę. Trzeba go jeszcze raz zapytać po rozwiązaniu parlamentu, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Wtedy dopiero, gdy naród po kilkakroć powtórzy swoją wolę i zagrozi lordom, że ich złoży do lamusa rzeczy przestarzałych — wtedy nie będą się dłużej opierali.

W polityce nie zdarzają się wypadki, które by częściej służyły za gniazdo bajkom, niż chwytanie szpiegów, mających zdejmować plany twierdz, wykradać tajemnice wojskowe itp. Takich mniemanych szpiegów a po zbadaniu niewinnych turystów przesunął się przez areszty niemieckie i francuskie długi szereg. Chociaż więc telegraf najuroczyściej zapewnia, że w Kielu złapano statek angielski, wynajęty przez dwu francuzów, u których znaleziono rysunki i fotografie Helgolandu, wolimy z wiarą w to doniesienie zaczekać.

Kongres północno-amerykański zwalił katastrofę na głowy a raczej kieszenie właścicieli kopalń srebra, zniósłszy bill Shermana (zobowiązujący rząd Stanów Zjednoczonych do zakupywania pewnej ilości tego kruszcu). Po wycofaniu srebra z obiegu monetarnego przez rząd indyjski jest to drugi cios, jaki w nie uderza. Ginie ono pod temi uderzeniami bez ratunku.

Książe Ernest Koburski zmarł a tron po nim objął angielski książę Alfred. Ma on jednak piastować tę godność tylko do czasu pełnoletności syna.

W San Sebastian (w Hiszpanii) wybuchły bardzo poważne zamieszki. Zorilla twierdzi, że cały kraj już jest zrepublikanizowany.

Sprawa mordu robotników włoskich w Aiguesmortes nie została jeszcze załatwiona, natomiast wywołała inne zaburzenia. Wszędzie na pograniczu włosko-hiszpańsko-francuskiem odbywa się wymianie obcych robotników.

LITERATURA I SZTUKA.

CEZAR BORGIA.*)

„Werdet hart!" — Fr. Nietzsche.

Dusze z rodzaju Cezara Borgii są dla artystów w tych czasach demokratyczności istotną pociechą i rozkoszą. Nigdy gatunek *homo* nie wydał wspanialszego przedstawiciela i żadna epoka nie była bliższą jego wytępienia i zaginięcia, niż nasza. Tygrys królewski zamienia się coraz bardziej na kota domowego. Rodzina Borgiów stała się w zupełności ofiarą legendy: pośród pochlebców, którzy kadzą, pamflecistów, którzy rozdzierają, pośród wyniosłych urągań i pełzających pochwał trudno dobić się prawdy. Dotyczy to głównie Cezara: gniewy, które wzbudził za życia, prześladują go aż do chwili obecnej. Był dzieckiem, gdy ojciec jego, kardynał Rodriguer Borgia, zdobył przekupstwem tyarę papieską. Ten starzec chytry i twardy był genialny w sztuce panowania i większy jeszcze w sztuce rozpusty, o instynktach zadziwiających, o wspa-

*) *Cezar Borgia, sa vie, sa captivité, sa mort, d'après de nouveaux documents des depôts de Romagnes et des Novarres*, par Ch. Yriarte, 2 v., 1893.

---

14)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Po Bożem Narodzeniu drogi były bardzo dobre, nęciła zarówno sanna, jak i ślizgawka, ale Gunnar nie wychodził nigdy. Nie posiadał ani sanek, ani łyżew; zresztą przyjemniej było wieczorem z Mareną.

We dnie z ojcem musiał torf zwozić. Wśród śniegów i wiatru ciężka, męcząca była to praca. Niebo groziło wciąż zawieją. Powietrze było szare, martwe — wszystko wokoło — zamarzłe, ścięte, beznadziejne. Gunnar drżał i marzł, oczy paliły go kurzem torfowym i zimnem; nie miał już chęci myśleć o dziewczętach, szedł więc tylko i gniewał się w duchu na ojca.

Na torfowisku pomagał mu ładować; w przekonaniu chłopca była to rzecz najgorsza w świecie; obawiał się wciąż, że ojciec napadnie go znowu tą słodyczą swoją, albo napomnieniami, albo też owem starem, natrętnem pytaniem, czy modlił się... uff!

Lecz widział dobrze, że ojciec nad czemś myśli — nie mylił się.

— W głowę zachodzę, o czem też ty całemi dniami tak dumasz, Gunnarku. Nie mógł że byś mi tego powiedzieć? Hm?

Gunnar pokraśniał. Ojciec nie wiedział chyba nic o historyi z Mareną.

— Tak, inne dziś czasy, niż wtedy, kiedy ja byłem mały — westchnął Enoch. — Przypominam sobie dobrze — ojciec mój nie należał do ludzi, dużo mówiących, my zaś, dzieci, kręciłyśmy się koło niego, szukając wszelakich sposobów, aby go do gawędki skłonić... A gdy się nam udało, bywaliśmy weselsi, niż te ptaszęta na niebie. Ale ty, ty, z ojcem twoim mówić nawet nie chcesz wtedy, kiedy cię o to prosi.

Gunnar nie wiedział, co począć. O czem że miał właściwie mówić? Wszcząć rozmowę o czem innem, niż o słowie bożem, na nic się nie zdało; tyle pamiętał z czasów dawnych...

— Ot, konfirmacyę odbyłeś, dorosłym jesteś człowiekiem, począł Enoch na nowo. Nie powinieneś więc już być tak dziecinnym. O przyszłości pomyśleć by należało... Prawda, że masz zagrodę, ale tę i ja miałem, a jednak roiło mi się w głowie od myśli i projektów, jakby to można młodości użyć najlepiej, aby mieć trochę grosza w zapasie, gdy kiedyś zagrodę obejmę. A ty nigdy o podobnych rzeczach nie myślisz?

Gunnar był zdumionym, słysząc ojca, mówiącego tak po świecku i tak rozsądnie. Możeby się jednak odważyć, może się uda? Ale, gdzież tam!

Cóż znowu nie to przecież tak trudnego.

— O... myślę nieraz o niejednem — odparł — ale zdaje mi się, że niewiele mi z tego przyjdzie, gdy powiem. Zrobiło mu się gorąco.

Enoch westchnął.

— Nie na wiele się przyda... gdy z ojcem pomówisz? Dziwna... że ja... słyszeć coś podobnego muszę.

Gunnarowi zrobiło się jeszcze goręcej.

— Ilekroć miewam na coś chęć, okazuje się, że to rzecz zdrożna!

Głos chłopca mimo jego woli brzmiał gniewnie.

Enoch zamilkł zupełnie. Wrócili do domu i Gunnar żałował, że przed chwilą był tak szorstkim. Może by jednak otrzymał pozwolenie. A ojciec milczał. Od czasu do czasu wzdychał tylko tak, że aż żal brał słuchać.

— Może to ja tym razem zacząć powinienem — myślał Gunnar. Bał się; ale je-

niałym cynizmie. Posadził obok siebie na stolcu św. Piotra piękną Julię Farnese, którą lud, aby wyrównać bluźnierstwem zgorszeniu, nazywał „sposa del Christo.“ Namiętności Aleksandra VI, nie znające żadnego wędzidła, dawały widowiska pyszne. Ten stary papież w nocy po uczcie, siedząc pomiędzy córką i kochanką, kazał tańczyć obnażonym kurtyzanom przy blasku pochodni. Za tę artystyczną wyobraźnię wiele wybaczonem mu będzie — w świecie sztuki. Nadewszystko wszakże kochał swe dzieci. Lukrycyę obdarzył mnóstwem tytułów i urzędów, a Cezar jako piętnastoletni wyrostek był arcybiskupem Pampeluny, w dwa lata później — kardynałem Walencyi. Chłopak zaczął marzyć o zaszczytach najwyższych, ale pomiędzy nim a władzą znajdował się brat starszy, Giovanni. Aleksander VI dzielił pomiędzy dwu tych synów swą miłość, ale młodszy uważając się za pokrzywdzonego, gdyż go odsunięto od miecza i władzy świeckiej, a tyary, jako syn papieski, zdobyć nie mógł, postanowił zająć miejsce brata i w tym celu sprzątnąć go ze świata. Taki był początek jego krwawej karyery. Siódmego czerwca 1497 r. bracia byli na obiedzie pożegnalnym, po którym mieli się rozstać na czas dłuższy, u matki, Madonny Vanozzy. Rozłączono się późno w nocy i Gaudia zniknął bez wieści. Dopiero w kilka dni potem krwawy jego trup owinięty płaszczem i przebity dziewięciu ciosami, z rozdartem gardłem na brzeg przez fale Tybru wyrzucony został. Wiadomość o morderstwie doszła do Watykanu. Aleksander VI zamknął się w swych apartamentach i nie chciał widzieć nikogo. Ten człowiek żelazny szlochał, jak kobieta. Zadano mu cios w jedyne czułe miejsce serca. Jego duma zawaliła się wraz ze szczęściem: gdy po pięciu dniach zamknięcia — podczas których nie przyjmował pokarmu — zjawił się w konsystorzu, prosił przebaczenia u Boga i ludzi za zgorszenie, którego był przyczyną i obiecywał reformę obyczajów w Watykanie. Ale tymczasem trzeba mu mordercy, obmyśla już dla niego męki niesłychane. Nad Rzymem zawisnął wielki niepokój; już stronnictwa rzucają na siebie oskarżenia, już winowajca ma być wykryty, gdy naraz powstrzymano dalsze poszukiwania. Papież nie chciał już znać mordercy swego syna. Cały Rzym szepcze po cichu jedno imię. Tymczasem Cezar czeka zamknięty w swym pałacu Borgo San Angelo; gra w szachy z dworzanami, stawia zadania poetom, przymierza bogate zbroje, noszące pieczęć jego wytwornej elegancyi. Kilkakrotnie chce widzieć, papieża, ale ten odprawia go z niczem. Dopiero po pięciu tygodniach został przyjęty. Aleksander VI oczekiwał go w Collegium sacrum, aby dać, podług zwyczaju, błogosławieństwo temu Kainowi, odzianemu w purpurę. Przystąpiwszy do stóp tronu, Cezar skłonił głowę i papież milcząco pocałował go w czoło. To milczenie ojca jest pełne boleści, a pocałunek zawierał w sobie całą gorycz, jaka w piersi ludzkiej pomieścić się może. Był to odwet natury, która w potworze odszukała serce ludzkie. W dwudziestym roku życia Cezar dokonał więc pierwszej i największej swej zbrodni i od tej chwili dąży z niezłomną energią do zebrania wszystkich jej owoców, znajdując w papieżu wspólnika i pomocnika. Aleksander VI nietylko wybaczył, ale zapomniał. W Rzymie wiadomo, iż on drży przed tym synem, który nie cofnął się przed bratobójstwem, podziwia go pewno w głębi serca i poznaje własną swą krew. Zdejmuje z Cezara purpurę, która staje na przeszkodzie tej ambicyi i wręcza mu całą zdobycz zdjętą z ofiary. A gdy młody władca, mając nareszcie miecz w ręku, podbija sąsiednie księztwa, sięga po Bolonię i marzy o Toskanii, aby połączyć całą środkową Italię w jedno królestwo pod swojem berłem, papież nie posiada się z radości. Krwawy trup Gaudii z rozdartą szyją poszedł w zapomnienie, odkąd papież jest sługą strasznej energii i niezmiernej ambicyi Cezara. Jego krótkiej działalności i tragicznym losom przyświecały niewątpliwie olbrzymie plany państwowe i dlatego daleko słuszniej jest uważać go wraz z Machiavelem za człowieka genialnego, niż za zwykłego awanturnika, jak tego chcą cnotliwi histerycy, dla których potęga twórcza jest udziałem tylko wielkości moralnej. Jeżeli nie trwałego po sobie nie zostawił, to tylko dzięki zbiegowi okoliczności, ale prowadziła go myśl genialna i energia nieludzka. Przez całe swe życie nie wykazał ani jednego błysku czułości, ale za to w wojnie i zarządzie krajów podbitych dał dowody rozumu i miary. Był dość zręczny, aby być sprawiedliwym, w krajach podbitych ustanawiał wszędzie rząd mocny i trwały, sprawiedliwość nieugiętą, a wszędzie spokój. Będąc tyranem na równi ze Sforzami i Malatestami, przedstawia wszakże coś bardziej stanowczego w zbrodni, gdyż przyświecała jej myśl wyższa. Uderza nas bardziej potęgą inteligencyi, niż chłodem okrucieństwa, a osoba jego silnie przemawia do wyobraźni: jest to roślina jadowita o trucinie subtelnej, ale o barwach wspaniałych. Przytem umiał zbrodnie swe utrzymać pod kierownictwem nietylko myśli wyższej, ale i w formach artystycznych: wobec jego wyszukanej elegancyi przychodzą na myśl klejnoty Renesansu, zawierające w perle kropelkę wyciągu, który zabija, nie zostawiając śladu.

Był wyrafinowany i pełen kontrastów: ten człowiek wojny twardy i nieubłagany studyuje z zamiłowaniem krój i kolor szat, a w rozpoznaniu rzeczy pięknych wykazuje smak artysty. Nader ukształcony, filozof, humanista, poeta pozostaje wciąż milczący i odosobniony — *molto segreto e solitario* — pogrążony w głębokiej zadumie, obracą wciąż w ręku złotą kulę, która zawiera drażniące zapachy i która go nigdy nie opuszcza, również jak i sztylet. Stałą jego manią jest robić z nocy dzień; niezmordowany w pracy, czuwał do czwartej z rana. Smak samotności miał z wyrachowania. Nie dopuszcza do siebie całymi miesiącami ambasadorów, którzy się zżymają, a gdy ich przyjmuje, to leżąc na łóżku. Za każdym razem, gdy się zjawia, chce uderzać wyobraźnię. To też tłum ma oczy tylko dla niego: pociąga nietylko młodością i pięknem, ale i kontrastem brzydoty moralnej, gdyż reputacya Cezara jest już ustalona. Istotnie, był piękny, jak Apollo, silny i zręczny. Ten blondyn Cezar — *biondo e bello* — czarujący tancerz, który często przewodniczył baletom symbolicznym, miał zarazem siłę Herkulesa. Występował nawet w walce byków. W czerwcu 1500 r. wstąpił na arenę z odkrytą twarzą, odziany w płaszczyk, z krótką szpadą przy boku, kopią w ręku, zmierzył się z pięcioma bykami, których pozabijał jednego po drugim. Ostatniego nawet powalił uderzeniem szpady, przy szalonych okrzykach tłumu. Ale umysł jego nie miał w sobie nic z atlety cyrkowego. Arcybiskup Giovanno Boccacio widział go w 17 roku życia, gdy był kardynałem i opisuje w sposób następujący: „Jechał na polowanie, był odziany w jedwab i uzbrojony; drobne kółko na głowie zaledwie przypominało tonzurę. Jechaliśmy koło siebie konno, rozmawiając. Jest to człowiek wielkiego umysłu, charakteru wybornego, o pogodnym humorze i wielkiej skromności.“ Pod tą skromnością współcześni zre-

---

dnak — gdyby otrzymał pozwolenie, gdyby pozwolenie otrzymał!

— Ojciec od niejakiegoś czasu takim był dziwnym; nie można wiedzieć... A cóż, gdyby się tak odważyć!

Parę razy słowa miał już prawie na ustach, lecz w ostatniej chwili zdejmowała go trwoga, a potem było już zapóźno. Więc poczeka, aż znowu będą na torfowisku.

Ale kiedy na torf przybyli, odeszła go odwaga. I tak — napróżno!

— I cóżeś to właściwie rozumiał pod tem, że „myślisz czasem o niejednem“ — pocżął Enoch. Nie mógłżebyś mi tego powiedzieć? Ostatnie słowa wykrztusił trochę niecierpliwie. Wierz mi, że dobra twego pragnę, że zła ci nie życzę?! Być może, iż czasem ostrym trochę względem ciebie bywałem... ale chyba nigdy nie przypuszczałeś, że miałem złe zamiary? Co? Przypuszczałeś może, że własny twój ojciec źle ci życzy...

Twarz Enocha przybrała taki jakiś dziwny wyraz; uff! robiło się jakoś smutno... a jednak strasznie to było przyjemnie słyszeć od ojca podobne słowa; pomyśleć tylko, sam przyznawał, iż ostrym bywał czasami... Ciepło, miękie uczucie legło chłopcu około serca.

Żeby je opanować, wysilił się na całą odwagę:

— Myślałem, że... że miałbym chęć pójść sobie do miasta i przyjąć miejsce w kramiku, żeby się czegoś nauczyć i kilka szelągów uciułać... W domu człek wprost śniedzieje.

Słów mu nawet nie brakło, aż sam się dziwił.

Oblicze Enocha rozjaśniło się; Gunnar przemówił uprzejmie.

— A wiesz co, Gunnarku — rzekł, tłumiąc radość w głosie; myśl to wcale nie taka głupia! Jużci na dobre wyjść ci mogą pobyt i nauka w mieście; a jeżeli uda się nam umieścić cię u człeka znajomego, na którym by polegać można — ot widzisz, widzisz, dlaczegóż boisz się wyznać mi plan taki? Wiesz przecież, że chętnie chciałbym się przyczynić do twego... powodzenia. No, zobaczymy, co się da zrobić, Gunnarku!

Tego dnia Gunnar prawie kochał swego ojca.

Koło wieczora, o zmroku, stał w stodole, wyjmując siano dla owiec, Enoch czyścił i karmił konie.

Nagle przystąpił do syna, wziął go w objęcia i przyciągnął do siebie. „Tak ciebie kocham, Gunnarku, tak kocham,“ szepnął, tego ty nie rozumiesz! Potem puścił go, pogładził dłonią włosy, westchnął zcicha i wyszedł.

Gunnar stał zawstydzony. W ziemię zapaść się pragnął.

XX.

Gunnar miał wyjechać.

Enoch nieraz wprawdzie miewał jeszcze skrupuły: folgować tak chłopcu w zachciankach ziemskich, rzucić go w sam środek świata między wszystkie jego przynęty i pokusy, młodego dzieciaka, cisnąć go tak wprost w paszczę Lewiatana... ale słowa raz danego łamać już nie mógł.

A przez cały czas chłopiec tak był uprzejmy, że niepodobna mu się było oprzeć.

Prawda, że złym było znakiem, iż tak chętnie dom opuszczał; ale zwyczajnie, jak dziecko. Matka popierała go; to co, jeśli taka głupia Marena ubzdurzyła sobie, że będzie kiedyś gospodynią na Haawe?

Enoch zamilkł. Wspomniał własną młodość; niczemu nie ufać. Najlepiej — usunąć chłopca z zagrody.

Kiedy jednak Gunnar odjechał, Enoch dostał napadu, złego napadu, w rodzaju dawnych. Oto zgrzeszył świadomie — Gunnar stał mu się znowu bożyszczem.

Lars Danielsen użyć musiał całej swojej władzy, aby go potrosze uspokoić, ale od czasu do czasu chodził znowu milczący, zmartwiały i było z nim źle, jak dawniej.

Przyszło na świat szóste dziecię. Była to dziewczynka, a Enoch i w tem zły znak

sztą rozumieli bardziej elegancką wstrzemięźliwość gestu i słowa, niż co innego. Kobiety uwielbiały go, a on wywierał na nie wpływ magnetyczny, przyciągał je z siłą czaru nieprzezwyciężonego. Ten elegant był słynnym uwodzicielem. Nie krył się zresztą z głęboką swą pogardą dla kobiet. Ożeniony z córką króla Novarry, najładniejszą dziewczyną, opuścił ją następnego dnia po nocy ślubnej, aby biedz na spotkanie swych dramatycznych losów. Oficerom swym zabierał żony, jeżeli były ładne, a podbite miasta płaciły mu haracz z najpiękniejszych swych kobiet i dziewcząt. Miał wszakże jedną namiętność stalszą. Ci, co wchodzili do jego namiotu, widzieli tam wysoką ładną dziewczynę nieznanego pochodzenia, którą prowadził zawsze z sobą. Ale ten człowiek potężny stracił, dzięki jakiejś kobiecie, w jednej chwili swe piękno i zdrowie. W 25 roku życia twarz jego pokryła się wrzodami i krostami, które zachował aż do śmierci. Oczy zapadłe gorzały ponurym blaskiem. Był straszny.

Wraz ze śmiercią ojca — Cezar został otruty wraz z papieżem na uczcie u kardynała del Corneto, przy warunkach dotychczas niewyjaśnionych, ale dzięki sile organizmu wyrwał się ze szponów śmierci — wszczęła się ruina młodego Borgii. Przy życiu Aleksandra VI pracował on z papieżem i dla papiestwa, ale ze śmiercią ojca, widząc, iż z tej strony nie można więcej oczekiwać pomocy, chciał się wyzwolić i pracować na własną rękę. Gdy Juliusz II zrozumiał tę jego myśl panowania niezależnego, które miało objąć Włochy i było groźne dla Władzy papieskiej, postanowił zwalić Cezara; nawet za pomocą zdrady Borgia nie był dość silny, aby się oprzeć połączonym siłom papieża, zagrożonych książąt i pomocy hiszpańskiej, walczył wszakże jak lew, więziony kilkakrotnie uciekał z więzienia i nareszcie oddał się w ręce swych wrogów na słowo Ferdynanda Katolickiego, który je złamał. Zginął w zasadzce zdradzieckiej.

Uderzeniom losu przeciwstawił też samą energię i potęgę woli, którą wykazywał w czasie powodzenia. Nie sposób mu odmówić olbrzymiej siły moralnej w chwilach zawodu. Właściwie mówiąc, był strasznym tylko dla wielkich, równych sobie i od nich nie żądał ani łaski, ani szczędzenia. Nienawiść czepiała się jego nóg, a zdrada pełzała za nim bez ustanku. Dla drobnych i słabych był łagodny. Wszystkie świadectwa twierdzą, iż starał się nie obarczać poddanych podatkami, a nie zmniejsza to bynajmniej jego zasługi, że surowy wymiar sprawiedliwości, który wszędzie na miejsce samowoli drobnych panów zaprowadził, był skutkiem wyrachowania a nie natury i serca. Był ulubieńcem mas, śmierć jego obok radości wzbudziła wiele żalów, fantazya ludu przez długi czas nie wierzyła w jego zgon, potem imię jego otoczono legendą, a wyczekiwano go nawet, jak Mesyasza.

Machiewel odwiedzał go kilkakrotnie w urzędzie posła i jest rzeczą nader interesującą widzieć dwu takich aktorów na jednej scenie. Zresztą słynny dyplomata, dla którego Cezar był urzeczywistnieniem idealnego księcia, śledził całą jego karyerę z ciekawością artysty. Borgia urzeczywistniał wszystkie jego orzeczenia: „nie powinien się zatrzymywać przed żadnymi względami sprawiedliwości lub niesprawiedliwości, ludzkości lub okrucieństwa, sławy lub wstydu. Powinien być raczej zapamiętałym, niż oględnym, gdyż fortuna jest kobietą: aby ją podbić, trzeba ją zgwałcić, gdyż ona pozwala się zwyciężyć raczej tym, co ją gwałcą, niż tym, co postępują z nią delikatnie. Wciąż jako kobieta, jest ona przyjaciółką młodości, gdyż młodzi ludzie mają mniej rozwagi, niż stanowczości i rozkazują z większą siłą.“

Jest głęboka logika w życiu tragicznem Borgii. Wszystko tu się ściśle wiąże — zbrodnia, powodzenie i upadek — wspólnym łańcuchem potężnego charakteru. Już w młodości rozpoczął walkę z losem, który zamknął go w zaułku bez wyjścia. Gwałtownem uderzeniem ramienia wydostaje się zeń. Wznosi się w przestwory i w chwili polotu utwierdza wzrok na szczytach najwyższych. Błyszczącym meteorem przebiegł krótką swą karyerę. Jak wszyscy zuchwalcy miał dni powodzenia, a surowości losu przeciwstawił wolę upartą, która nigdy nie uznawała się za zwyciężoną. Wszystko to czyni zeń osobistość genialną, ale ponieważ okoliczności pozwoliły mu urzeczywistnić tylko część nieznaczną obszernych planów, które powziął, postać historyczna zostaje niewykończona i jakby strzaskana gromem u samej podstawy.

L. W.

LITERATURA FRANCUSKA.

J. Jullien, *La vie sans luttes* (Życie bez walki), Paryż, 1893.

Na knocie pół zwęglonym, tu i tam już świecącym cuchnącą czerwienią, płomień skraca się w blado-żółtą aureolę i niby senny rzuca światło coraz smutniejsze i słabsze. Izba napełnia się mrokiem, sprzęty licho kupione na tandecie, piec, łóżko i ściany ogarniają cienie coraz gęstsze i czarniejsze.

Maurycy przestał pisać, znużona ręka odpoczywa chwilę, lecz czoło pochyla się na lewą dłoń i myśli zaczynają tańczyć wokoło. Przygnębiło je jeszcze bardziej gaśnięcie lampy. Co począć? Już tylko kilka franków w pugilaresie, rzeczy, które pozostały, w lombardzie nie przyjmą, a do pierwszego daleko i w biurze zaliczki nie dadzą. Co zastawić, gdzie brać na kredyt? Ach Boże, tyle wyszło w tym miesiącu na nauczycielkę Janki i utrzymanie Pawełka, tyle wydało się na lekarstwa dla biednej Ludwiki, wciąż chorej, wciąż kaszlącej od ostatniego połogu...

I biednemu człowiekowi w oczach ciemnieje, a głowa rozpala się w gorączce.

Oto „życie bez walki,“ życie spokojne, godne pozazdroszczenia. Oto początek noweli, otwierającej zbiór młodego pisarza francuskiego, Jana Julliena. Filistrzy upatrują w nędznym i poniżającym bycie proletaryuszów kancelaryjnych źródło cnoty, zdrój zalet sympatycznych: oszczędności, wstrzemięźliwości, umiarkowania. Kosiakiewicze, Theuriety, Stindy nie wychodzą z ekstazy na widok wyschłej żony pracownika biurowego i raz do roku sprawiającego sobie spodnie. Ale potrzeba człowieka z wrażliwem sercem, z myślą silną i nieokiełznaną, aby spojrzeć inaczej na to życie. Potrzeba może samemu połknąć kilka kropli goryczy, żeby widzieć w tym bycie to, czem on jest istotnie, widzieć gnące się z bólu jednostki, pękające serca i łamane myśli...

Jan Jullien, człowiek młody i jeden z najwięcej obiecujących w literaturze, kilkakrotnie już złożył dowody zrozumienia bytu drobnych żyjątek oceanu społecznego. W głębiach, w których życie ledwie zda się drgać, znalazł on dramaty silne i tragedye wzruszające. Dramat jego „Morze“

---

upatrywał. „Tyle nas, tylo, skąd jadła wziąć dla wszystkich?“ jęczał. Anna zapadła na zdrowiu. I to Enoch więcej brał do serca, niż było trzeba. „Ja to, ja ją zniszczyłem! mówił — żonę zabiłem, syna biesowi w szpony rzuciłem. I cóż dziwnego, że Bóg się ode mnie odwraca?“

Wielkie dzieło, o którem marzył — ustatkowanie cyganów — przyczyniało mu tylko coraz więcej wstydu i hańby. Tomasz używał domu jedynie na leże zimowe; latem wraz z bandą swoją tułał się, jak dawniej; a kiedy wracał do chaty, wrzało w niej życie dzikie, pełne pijatyk i swarów; aż strach było pomyśleć, że to Enoch sam taką ohydę do gminy wprowadził. Nieszczęście piętnowało wszystkie jego przedsięwzięcia.

I z zagrodą szło coraz gorzej. Nie pracował tak, jak należało, a i Bóg mu nie pomagał... Kara boska, wszystko to prostą drogą prowadziło do kasy wsparcia dla ubogich; za kilka lat ciężarem będą gminie...

Tak minęło lat parę, to więcej, to znów mniej dobrej niosąc doli. I płynęła ta dola smutną, ciężką falą, smutkiem i ciężkością do morza podobną.

Kiedy miał dobre czasy, posiadał i zapału dużo; niekiedy nawet za dużo; gdy jednak czasy były gorsze, otuchę tracił całkowicie. Przeklętym był, opuszczonym, gadał o piekle i o kasie ubogich. Wpadał na różne dziwactwa, na pomysły, nieraz zupełnie bezsensowne, a zawsze niedorzeczne; raz mówił, że „Gunnara biesowi na przynętę rzucił,“ to znowu, że Bóg chciał chłopca od ojca wyzwolić. „Widział, że go niszczę... zarówno na ciele, jak i na duszy... Musiał go więc wziąć ode mnie.“

Plotka, którą cyganicha Gunhilda przyniosła, wiadomość, jakoby Gunnar wdał się z jakąś kobietą, na pewien czas zupełnie pozbawiła go zmysłów. „Przekleństwo ciąży nad całym moim domem; cały ród mój Bóg zniszczyć i wykląć postanowił... Grzechy moje mścić będzie aż do tysiącznego pokolenia...“

Do Anny dzieci miały zaufanie, przed nią z wszystkiego się zwierzały; lecz do niego — do niego nikt nie przychodził; był jakby wyzutym; obcym we własnym swoim domu.

Nastało lato, dżdżyste, jedno z najgorszych.

Przez sześć tygodni deszcz padał bezprzestannie. Niebo, ciężkiemi chmurami brzemienne, zawisło niemal na grzbiecie gór; ziemia pływała w wodzie; zdawało się, jakoby nie było już kresu pomiędzy wodami w górze a wodami na dole. We mgle deszczowej pociemniało i morze.

Straszliwe grzmoty dudniły ponad ziemią, wyrzucając ulewne deszcze i gorące błyskawice; trwało to czasami przez dnie całe. Ciężkie potoki unosiły piasek, żwir i chrósty, sprzątały siano i pustoszyły niwy; drogi i ścieżki były zepsute; siano przepadało się w stogach, żniwa odwlekały się wszędzie.

Czasem zdawało się, że Bóg wreszcie uczuł litość; rankiem słońce wschodziło, promienne, jasne, a niebo było czyste, błękitne, niby toń jeziora. Ludziska wychodzili na pola, burzyli stogi i rozkładali siano... Lecz starzy kiwali głowami... Słońce było zbyt czerwone, zbyt niezdrowo i palące; łąka, na którą rosa jakoś nie padła, mało też dawała nadziei. A przed południem, wokoło słońca, jęły się gromadzić obłoczki; z południowego wschodu nadciągały hufce chmur; obłoczki zaczęły się powiększać, zbijać w oddziały coraz gęstsze; na górach zrobiło się ciemno, kirem pokryło się niebo; słońce walczyło, walczyło, a jednak zostało zduszone... „O Panie! zaświeć nam obliczem swojem“ — wołał Enoch, zwracając się ku niebu, na którem jeszcze szukał błękitnych płatków.

Lecz oceany chmur, jak atrament ciemne, rozpływały się na wszystkie strony. Słońce złożyło broń i skryło się. Padły pierwsze ciężkie krople, niby łzy rozpaczy. Ludzie rzucili się co prędzej na siano, zbie-

osnuty na tle rybaków bretońskich, drugi „Pan" pochodzi z równiny wybitnie chłopskiej Beauce. W jednym i drugim bohaterowie i bohaterki noszą zgrzebne koszule i pracują jak woły, jednak oba są tak silne, tak przenikają do głębi duszy, że zamykasz książkę i odkładasz niby Shakespeare'a. Nowsza literatura dramatyczna Francyi posiada tylko *Henrykę Maréchal* Goncourtów o podobnej mocy.

Przy zamiłowaniu tem do życia ludowego objawia młody autor gorące sympatye do pokrzywdzonych. Zbliża się on wogóle do wielkiego dramaturga niemieckiego, Ludwika Anzengrubera. Nie rozkoszuje się intrygami i zmysłowością, nie sypie na kosz stokrotnie przemielonych motywów miłosnych, z układu społecznego, nierówności materyalnej, wykrzywienia zajadłą walką serc ludzkich snuje motywy. Jego najpiękniejsze postacie, to wyrobnik, którego wyrzuca w świat przyszły spadkobierca włościanina z Beauce, zaniepokojony o swoją część, bo ten ma poślubić jego siostrę, rybaczkę, której męża topi wspólnik łodzi i mieszkania, aby samemu posiąść jedną i drugie. Jeśli sięgnie nawet w życie klas dostatnich, ulubieńcami jego pozostają maluczcy doświadczeniem. Sympatye swe zlewa na tych, którzy życia nie znają, którzy biegną ku niemu, jak dziecko ku kwiatowi leśnemu, wyrosłemu na wężowisku. W chwili, gdy woła: Już, zerwałem!— otrzymuje śmiertelne ukąszenie...

Więc smutno zawsze w duszy po przeczytaniu jednego z utworów Julliena. Zawsze źdźbło tam jakieś skoszone, liść jakiś na ziemi i wicher jesienny zda się, szumi w przestworzu.

W „Życiu bez walki," pierwszej próbie autora na polu noweli dźwięczy tenże ton smętny, występują te same postacie. Da się to powiedzieć głównie o noweli tytułowej i „Pierwszej miłości." „Na Sekwanie" (En Seine) jest prześliczną sielanką, pełną słońca i śpiewu ptasząt, szumu rzeki i gwaru trzcin. Poeta smutku zapomniał tu zupełnie o sobie, dając rozwiązanie radosne, a na horyzont całego utworu ani jednej nie kładąc chmurki.

Lecz oto pierwsza nowela.

Maurycy, ukończywszy szkoły, otrzymał miejsce za 2,100 fr. Oglądały się za nim dziewczęta, jedna i jemu samemu nie była obojętną. Myśląc, że biednym wolno kochać się, poślubił ją. On ma lat dwadzieścia dwa, ona siedemnaście.

Lecz życie nie rzuciło im kwiatów pod nogi. Nie powiedziało tym dzieciom: patrzcie, wiosna na dworze, zieleń. I ja was darzę wiosną, będę dnie wasze stroić zielenią. Nie, uśmiechnęło się tylko złośliwie niby stara jędza, cisnęło za nimi złe słowa.

Urodziło się dziecko, potem drugie, umarła ich przyjaciołka, jej matka. Pensya nie rosła, na wydatki nie wystarczała. Potrzeba było mieszkać w jednej izdebce, od ust sobie odejmować, gdy szło o kupno sukienki lub bucika. Trafiło mu się zajęcie na godziny międzybiurowe, wziął je, nocami przepisywał role teatralne po piętnaście centimów za stronę.

I ciężko szło to życie, och ciężko. Wlokło się za nim, jak kajdany. Jedyna rozrywka wyjazd za miasto. Tam ptaki świegotały, wiało świeże powietrze. Lecz wieczorem znowu do pracy i po północy jeszcze lampa się paliła.

Wszystkoby uszło, gdyby nie choroba. Po ostatnim połogu Ludwika legła, kaszel jej chwycił się i schła, jak trzcina. Lekarstw było potrzeba, wina, wsi, a za co, skąd?..

Nocami pracował, na obiad jadł kawałek chleba, oszczędzał dla niej. Lecz ileż mógł oszczędzić!

I dziś czuwa, godzina druga, noc. Tyle jeszcze do przepisywania!..

Lecz Ludwika budzi się: połóż się spać— prosi. On siada przy niej: pozwól chwilkę, już niewiele.

— Zostań przy mnie, pomów.

On przykłada głowę do jej poduszki, całuje ją w czoło. Wspomina czasy, kiedy marzyli o szczęściu. Ach, jak dawno minęły...

— Pocałuj mię jeszcze — prosi chora.

A gdy ją pocałował:

— Nieprawdaż — mówi — pojedziemy tego roku w niedzielę za bramę Romainville. Będziemy przechadzali się, jak tej pierwszej niedzieli...

I ledwie to powiedziała, kaszel zrywa się, zaczyna wstrząsać jej klatką piersiową, potem nią całą. Oczy wychodzą z orbit, pot cieeze po twarzy. Sąsiadka, pani Schneider, budzi się, wbiega.

Jeszcze nigdy nie było takiego napadu, jeszcze nigdy położenie materyalne nie było tak przykrem. Jak radzić? Prosić, ale kogo?

Maurycy miał wuja, przedsiębiorcę ślusarskiego. Zerwał z nim, bo ten opierał się małżeństwu jego z Ludwiką. Lecz cóż zrobić, zapuka doń...

Ale kiedy nazajutrz przyszedł do warsztatu pana Maréchala, brakło mu odwagi do prośby, powiedział tylko, że żona chora i możeby ją ciotka odwiedziła.

Pani Maréchal była kobietą bardzo czułą, gdy czułość popłacała. Przy świadkach odkrywała wszystkie skrytki serca, w cztery oczy dar swój dawała zbyt uczuć. Gdy więc zawitała do Ludwiki, opłaciła wprawdzie aptekę i kazała przynieść kilka butelek wina, ale tyle zrobiła uwag o mieszkaniu, o mężu, o jego „niedbalstwie," jak mógł żenić się, będąc takim nędzarzem, że Ludwika dostała znowu silnego napadu kaszlu, a pani Schneiderowa wyprosiła Maréchalową za drzwi.

Wieczorem Maurycy znalazł żonę bardzo rozdrażnioną.

— Prawda, twoja ciotka już nie wróci?— mówiła do niego.

— Nie, duszo, nigdy nie wróci.

— Ach, dziś rano tak czułam się dobrze. Potem omal nie zadusiłam się.

Weszła ich córeczka ze szkoły.

— Otwórz okno, Maurycy. Który dziś?

— Dwudziesty siódmy kwietnia.

Przypomniała sobie, że kilka lat temu, trzeciego maja, w dzień ślubu, były poziomki. Prosiła, żeby przyniósł poziomek. Ale nim wróciła, chęć ją odpadła. Wreszcie nowy kaszel, gorączka — i Maurycy pobiegł po lekarza.

Gdy wrócił, kaszlu nie było. Lekarza nie znalazł, lecz w posterunku policyi przyrzeczono mu go przysłać. Usiadł przy łóżku Ludwiki, wziął jej ręce gorące w swoje; patrzyli sobie głęboko w oczy. W sąsiednim pokoju, za ścianą, rozmawiano, ton rozmowy zniżał się, słowa stawały się coraz rzadsze, od czasu do czasu słychać było pocałunek. Tam całowali się. A tu?

U pani Schneider pocałunki były coraz tkliwsze, słowa cichsze. Wreszcie dwa głosy poczęły śpiewać cicho, podniośle. Ludwika niby obudziła się ze snu. Podniosła głowę, zaczęła nasłuchiwać. Naraz policzki jej zarumieniły się, oczy zabłysły, otworzyła ramiona, pochwyciła w nie męża z dziką energią i szepnęła:

— Weź mię, weź mię.

Ich usta przylgnęły do siebie.

Gdy lekarz wszedł z policyantem, ona spała. Maurycy prosił, aby jej nie budzić. Czarne jej włosy rozsypane okalały głowę złożoną na poduszce, powieki były przywarte, na różowej twarzy promieniała jakaś rozkosz.

Lekarz ujął ją za puls, potem przyłożył

---

rając je w szalonym pośpiechu; napół zgniłe — wszystko szło w jeden stóg. Ponad głowami ich huczał już grzmot za grzmotem, a deszcz lał, potokami płynął, mocząc ich jak wrony.

Siano zaś stało w tym swoim stogu póty, aż zczerniało, dając przytułek żabom, ropuchom i ich potomstwu. Nieskoszona łąka gniła zarówno, jak i pole, najpiękniejsze zboża musiały pójść na paszę dla bydła.

Enoch szedł, jakby więziony przez te wszystkie wody, pędzony lękiem, który nie opuszczał go nigdy. Zbliżał się dzień sądu. Wokoło ciemność, mrok; powietrze napełniało się wodą i ogniem, słońce odmawiało światła; porządek świata zmieniał i mieszał się; Bóg zapomniał o ugodzie swojej z Noem i po raz wtóry ludzi potopem zniszczyć postanowił... Niedarmo zimą morze wrzało niepokojem, niedarmo gwiazdy tak straszliwie padały.

Podczas czarnych nocy drżał, ilekroć grzmot zahuczał ponad dachem, a deszcz padał; potoki rosły, wciąż rosły, wkrótce ścian dosięgną; wtedy wzmogą się jeszcze więcej i uniosą nas wszystkich, precz, w żółtej swojej pianie, precz, w rozhukane bałwany morza...

Pewnej nocy zląkł się śmiertelnie.

Ze wszystkich stron i okolic nieba jęło błyskać i palić się ogniem; ogień, jak siarka, i ogień, jak krew, i ogień, jak białe, z pochew wyjęte miecze cherubów... A grzmot huczał, trzaskał, jakby na sądny dzień. Wybuchał strzałem, krzykiem prawie, dzikim okrzykiem trwogi, że aż niebo pękało. A czasem zdawało się, jakoby staczał się po ziemi, dygocząc, skacząc, jak odłam skały, lub też wyjąc, świszcząc w szerokiej przestrzeni. Błysk za błyskiem, huk za hukiem, deszcz zaś padał, tłukł o ziemię, dzwoniąc, jak kopyta końskie; całe przestworze było jak ryczące morze deszczu; niebo i ziemia płakały razem nad niedolą, która ot, ot już zapanować miała...

„Jezu Chryste, Jezu Chryste! — jęczał Enoch; nagle padł huk, aż się ziemia zatrzęsła. Jezu Chryste! — krzyknął Enoch, wyciągając ręce, jak trup blednąc. Czuć siarkę... koniec świata... zapalił światło, rzucił się na kolana, zaczął czytać modlitwę: „bojaźń przed sądem ostatecznym..." Głos mu drżał, światło migotało wśród ognistych błyskawic. A Enoch czuł, że ziemia z pod nóg mu się usuwa, ilekroć rozległ się huk twardy, ciężki, jak wybuch.

Uspokoiło się dopiero nad ranem. Lecz słychać było jeszcze pomruk wokoło, jednostajny, tłumiony, a wciąż budzący się nanowo, pomruk ciężkiego gniewu bożego.

Wyszedłszy rano, ujrzał widok straszliwy.

Włosy podniosły mu się na głowie, stanął jak bezwładny, bezprzytomny: tak więc blizko Bóg był tej nocy. Ślady jego stóp były widoczne tuż pode drzwiami.

Uderzył piorun. Spłonęła pod nim stara wierzba. I oto stała czarna, o złamanych wierzchołkach; gałęzie po bokach zupełnie były zerwane.

Groza spustoszenia, groza spustoszenia... Z drzewa piorun przeskoczył był na trawę, wywrócił płot, w ziemi wywiercił dziurę, poczem odskoczył jeszcze dalej i nową dziurę wywiercił i tak wciąż coraz dalej, dziurę za dziurą, każdą następną mniejszą od poprzedniej; ziemia był podryta; powyrzucana, jakby przez strasznego, szalonego olbrzyma odyńca.

Enoch wyglądał strasznie, kiedy wpadł napowrót do izby — na twarzy tak był szaro-zielony, a oczy tak miał wykręcone, że Anna formalnie krzyknęła:

— Na Boga, cóż się stało, Enochu?!

— Sąd ostateczny, sąd ostateczny — wyrzekł ochrypłym głosem — sąd, sąd ostateczny...

(D. c. n.).

rękę do serca. Wreszcie podniósł głowę i odwróciwszy się do Maurycego, rzekł:

— Odwagi, panie! Nikt jej nie zbudzi. Ona... umarła.

Jęknął. W trzy dni potem grzebano ją, on nie wiedział, czy żyje. Chciał targnąć się na siebie, powiedziano mu, że ma dzieci... Lecz gdy wieczorem wuj zaproponował mu miejsce u siebie, on pomyślawszy, że w dawnym swym zawodzie z *nią* cierpiał, że tam przymierał z głodu, gdy ona żyła, odrzekł:

— Dziękuję...

„Pierwsza miłość“ pozostawia również smutne wrażenie. Jest to opowiadanie w formie autobiograficznej, miłość dziecka. Analiza bardzo subtelna.

Małemu Pawełkowi umarła matka, zajęła się nim i siostrą kuzynka Małgorzata. Przylgnął do niej chłopczyk i gdy raz usłyszał, jak ojciec mówił o zamęściu, zawisł jej na szyi i spytał:

— Ty od nas nigdy nie pójdziesz?..

— Nie, nigdy — mówiła ona.

Lecz zajmując się chętnie malarstwem, poznała malarza Gilmonda. Dawał jej lekcye, potem uwiódł i namówił do ucieczki.

Z wielką znajomością serca przeprowadzony rozbiór bólu, jaki sprawiło Pawłowi to zajście. Odbierano mu tę, która go wypieściła, bawiła się z nim. Więc i po ucieczce Małgorzata była w jego myślach otoczona aureolą. Ojciec jego ożenił się wreszcie, siostrzyczka umarła, a jego oddali do liceum.

Raz wychodził ze szkoły, patrzy: wystawę przed sklepem ogląda Małgorzata. Podskakuje ku niej, rzucił się jej na szyję i począł całować.

Pozwoliła się wziąć za rękę, odeszli na skwer i usiedli w cieniu drzewa. Była wciąż z Gilmondem. Paweł zaczął ją prosić, aby wróciła do nich. Ach, gdybyś wiedziała, jak ja cierpię — mówił.

— Nie, Pawełku — odrzekła — nie mogę.

I pożegnała się z nim wkrótce.

Lecz on po rozstaniu się nie mógł żyć bez niej. Chciał ją widzieć, z nią mówić. Podejrzywał, że Gilmonde przemocą ją trzyma i postanowił uwolnić. Wyszukał adres malarza i z rewolwerem w zanadrzu zapukał nazajutrz po lekcyi do jego drzwi.

Wprowadzono go do salonu.

— Pan Gilmonde wejdzie w tej chwili.

— Co mam robić teraz? — myślał. Co mówić, czego żądać?

Wtem posłyszał w sąsiedniej izbie dźwięczny śmiech. „Kuzynka“ — drgnęło mu w myśli.

Skoczył do drwi, otworzył. Na kanapach siedzieli mężczyźni, Gilmonde pracował przy obrazie, przed nim, przy oknie, w pełni światła, pozowała naga — Małgorzata. Krzyknęła, zasłoniła twarz rękami, malarze parsknęli śmiechem. Paweł wybiegł pędem i rzucił się ku schodom.

Uleciał sen. Zniknął anioł i pozostała tylko — upadła dziewczyna.

„Na Sekwanie,“ to obraz życia młodej dziewuchy, wyrosłej na statku ojca, jednego z marynarzy sekwańskich, poślubiającej Anzelma, również marynarza. W życiu tem tyle piękna, w dziejach rozwoju stosunku miłosnego obojga młodych ludzi tyle wdzięku, że małą tę nowelkę stanowczo należy uważać za arcydzieło.

W młodej literaturze francuskiej, jak w każdej nowych dróg szukającej, znajdą się siły słabe, talenty drugorzędne. Rosną one niby krzewy, których zdala oko nie dojrzy. Za kilka lat znikną. Ale ponad nie wzbijają się, jak młode a pełne sił i soków drzewa, talenty duże, pierwszorzędne. Roztoczą kiedyś gałęzie i wierzchołek wysoko podniosą. Należy tu autor „Życia brutalnego“ Reibrach, zaliczę do nich i Jana Julliena.

W. Bugiel.

WYJAŚNIENIE BIBLIOGRAFICZNE.

Prof. Struve w nr. 222 *Kuryera warszawskiego* podał wiadomość o świeżo odnalezionym w Londynie niekompletnym egzemplarzu biblii litewskiej z r. 1660 i o nabyciu tej wielkiej rzadkości bibliograficznej przez bibliotekę Muzeum Brytańskiego.

Za tłomacza tej Biblii na język litewski podany jest w liście Samuel Bogusław Chyliński, a dokonany przekład nazwany „Biblią Chylińskiego“ — jedno i drugie zupełnie niesłusznie, jak to już przed kilku laty należycie wyjaśnił Maurycy Stankiewicz (Studya bibliograf. nad liter. litews., Kraków, 1886).

Przekład Biblii w połowie wieku XVII przygotowany był w Kiejdanach staraniem tamtejszego zboru kalwińskiego, na podstawie gotowego już tłomaczenia całej Biblii, dokonanego w końcu wieku XVI-go (1590 r.) przez Jana Bretkuna, pastora i kaznodzieję litewskiego w Królewcu (✝ 1620). Rękopis przekładu Bretkuna, z 8-iu wielkich tomów złożony, stanowiący własność biblioteki królewieckiej, był za pośrednictwem Bogusława Radziwiłła udzielony na czas pewien zborowi kalwińskiemu kiejdańskiemu, aby przy jego pomocy nowy przekład do druku wygotować.

W pracy tej wzięli głównie udział: Jerzy Skrodzki, kaznodzieja polski i litewski w Królewcu (✝ 1683) i Jan Borzymowski, senior żmudzki w Kiejdanach (✝ 1671), Chyliński zaś tłomaczem wcale nie był. Udział jego w tem przedsięwzięciu był zupełnie inny. Jemu tylko synod kiejdański, zamierzając wydać Biblię, powierzył (1657 r.) zbieranie na ten cel składek pomiędzy spółwyznawcami, przeważnie za granicą, a następnie wysłał go do Londynu dla kierowania drukiem i dopilnowania korekty dzieła. I z tego jednak zadania Chyliński wywiązał się nienależycie.

Gdy część funduszu, zebranego na wydanie Biblii, jemu powierzona, przed czasem na inne rozeszła się cele, synod kalwiński, zebrany w Wilnie w czerwcu 1663 r., powierzył starania około dokończenia druku tej księgi w Londynie nowo delegowanym: Janowi Krzysztofowi Kraińskiemu, kaznodziei nadwornemu Bogusława Radziwiłła oraz Mikołajowi Minwidowi, kandydatowi teologii. Brak jednak potrzebnych funduszów stanął na przeszkodzie doprowadzeniu do końca rozpoczętego dzieła.

Druk Biblii, pięknem pismem łacińskiem, drobnym elzewirem, przerwano na str. 416 na psalmie 40-ym; nie wydrukowano również tytułu książki, a nadto brak w niej arkusza od str. 337—352.

Arkusze wydrukowane, przez wydawców niewykupione, poszły z czasem na makulaturę i uległy zniszczeniu; wskutek czego Biblia litewska, drukowana w Londynie, należy do najrzadszych książek. Jeden znany jej egzeplarz posiadała biblioteka uniwersytetu wileńskiego, jako dar Jerzego Grużewskiego (1805 r.), i egzemplarz ten znajduje się dziś w bibliotece Akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu. Drugi zaś, o którym donosi prof. Struve, o 176-iu stronicach, będący fragmentem całości, pojawił się obecnie w Londynie i w Muzeum Brytańskiem znalazł bezpieczne od zagłady schronienie.

Ponieważ główną zasługę około wydania tej Biblii położył synod kiejdański, Chyliński zaś tłomaczem zgoła nie był i odegrał tu rolę niepochlebną, niema przeto podstawy mianowania tej księgi jego nazwiskiem; właściwszą jest nazwa Biblii *londyńskiej* od miejsca druku, albo Biblii *kiejdańskiej* od miejsca, gdzie zbiorowemi siłami przekładu jej dokonano.

Adam Ant. Kryński.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD NEWY.

II.

W Lipcu.

Co ma począć podczas białych letnich nocy Petersburga, a jeżeli wolicie, podczas nieskończonych jego wieczorów, ogromna armia słomianych wdowców i kawalerów? Jasność bezsennego nieba, napoły drażniąc, napoły zachwycając, przemocą otwiera już opadające powieki i zabija wszelką ochotę do snu. A smętna pustka mieszkania wypędza człowieka za progi domu. Każe mu szukać towarzystwa, chociażby tylko towarzystwa bezimiennego tłumu — twarzy, które się widzi, a których się nie spostrzega.

Słomiany wdowiec, uwolniwszy się o zbyt późnej godzinie od roboty, nie czuje odwagi jechać na „daczę“ dla przelotnego uścisku połowicy; a przecie czuje się jakoś nieswój przy opuszczonem domowem ognisku, pośród sprzętów, przed barbarzyństwem much, mólów i kurzu, poobwijanych, niby mumie egipskie, w stare gazety i płótna. Tymczasem młodzieniec, nie skrępowany jeszcze więzami hymenu, rozmyśla posępnie nad musową pauzą w prowadzeniu flirtu francuskiego z paniami i angielskiego — z pannami, gdyż nielitościwe lato opróżniło miłe „filisterya“, do których zwykł się udawać z wizytą wieczorkiem. Bogini nudy, tryumfalnie ziewając, roztacza swoje skrzydła nad jednymi i drugimi. Jak wyrwać się z jej pazurów?

Możecie się śmiać, ale nowomodny socyolog, nie bez pewnej dozy racyi, odnalazłby w tem kwestyę społeczną. Toć przecie Schopenhauer uważa nudę za jedno z niebezpieczeństw społecznych — gorzej, za jedną z matek zaburzeń politycznych. Nienaprożno — powiada — rządy przyjęły rozumną politykę opiekowania się widowiskami publicznemi, stanowiącemi doskonały pokarm dla niespokojnych, a niezajętych umysłów. Niedaremnie — dodaje — Rzym w epoce Cezarów dawał tak chętnie posłuch okrzykowi motłochu: „circenses!“

Zdaje mi się, że w letnią noc petersburską słyszę, jak ten sam okrzyk rozbrzmiewa wskroś ciszy ulic i tysiącznem echem rozbija się o rozpalone mury miasta. I jakby w odpowiedzi na to wołanie, kolorowe afisze na ścianach domów i ogłoszenia na ostatnich stronicach gazet (krytykujących wszystko, nawołują ofiary nudy do zamiejskich teatrów, obiecując im widoki cudów: „księżniczki brylantów,“ gumowe kobiety,“ „powietrzny balet“ itp., nęcąc biorących bilety perspektywą przejazdu za darmo parostatkami newskimi i tramwajami aż do miejsca zabawy.

Circenses! rozrywek, zabaw, widowisk! Alcż nie byle jakie widowisko zdolne jest pociągnąć i zająć ten tłum dzisiejszy, zwłaszcza tłum nieco kosmopolitycznej stolicy, przesycony i stępiony, a łaknący dla swoich nerwów i zmysłów coraz nowszych, silniejszych, niezwyklejszych wrażeń.

I oto przedsiębiorcy teatralni wysilają się, aby pochlebić tej właśnie publiczności, a w pogoni za zyskiem łożą nawet w tym celu ryzykowne nakłady, sprowadzając od czasu do czasu nagło krachy tego rodzaju przedsięwzięć.

W zamiejskich ogródkach Petersburga przedstawienia przeciągają się długo po za północ, niekiedy kończą się bowiem aż po drugiej w nocy. Dla przybysza z Warszawy jest tu prawdziwy kłopot nadmiaru,

szczególnie pod względem ilościowym. W takim ogródku zazwyczaj funkcyonuje kilka scen: jedna przeznaczona dla kultu szansonetek i akrobatów, druga — dla operetek, czarodziejskich feryj, pantomin, baletu. Publiczność wędruje kolejno od jednej do drugiej, co ma pozór zdrowego ruchu na świeżem powietrzu. Prócz tego tuż znajduje się teatr zamknięty, gdzie doborowsza, a właściwie dopłacająca publiczność słucha opery lub podziwia „bogatsze numery“ tego samego rodzaju widowisk, które w antraktach ogląda na scenie ogródkowej. Przy wyjściu bowiem z zamkniętej sali teatru za każdym razem natrafia na jakiś kawałek równocześnie odbywających się widowisk na scenach otwartych. Na tych ostatnich przedstawienia odbywają się niemal bez przerwy i chyba że za przerwę wypada uważać grę orkiestry wojskowej na estradach koncertowych. Wszystko tu obliczone na ciągłe zajęcie oka i ucha, a także i... na bufet. Interes przedsiębiorcy przewidziany jest w formie nieustannych dodatków za miejsca siedzące.

Dwa rysy zasadnicze uderzają w charakterze przedstawień letnich: zupełny prawie brak strawy duchowej, artystycznej, oraz urywkowość i niejednolitość widowiska. Sztuka abdykowała tu na rzecz sztuczki. Na miejsce organicznych całości postawiono „bogate, świetne, zajmujące programy.“ Komedya, dramat, nawet farsa zeszły z repertuaru. Bomby dramatyczne, któremi karmią się i przez które wylatują w powietrze sceny ogródkowe w Warszawie, nie są tutaj w modzie. Nieledwie jedyną szlachetniejszą całością, dla której sceny zamknięte zrobiły wyjątek, jest opera, zawsze znajdująca słuchaczów między tutejszą wcale muzykalną publicznością. Po za tem jednak ogólny ton przedstawień na scenach zamkniętych słabo tylko różni się od otwartych. Wogóle uczyniono tu wszystko, aby nie zmusić wypadkiem bawiących się do jakiegokolwiek poważniejszego i dłuższego skupienia uwagi.

Powodów do rozdzierania szat nad obniżeniem poziomu moralnego tutejszych letnich widowisk i znieprawieniem gustu publiczności miałbym aż nadto wiele. Ale dlatego właśnie pragnąłbym przez oszczędność pozostawić moje szaty w całości i ograniczyć się tylko poprzedzającemi krytycznemi uwagami. Zresztą w wielkiej prostocie ducha wyznaję, że nie posiadam wcale umiejętności reporterów warszawskich, którzy doskonale określają, pod jakim stopniem mogą utworzyć kąt nogi baletnicy, aby z dziedziny estetyki nie wkroczyć w sferę niemoralności. Nie wiem także, jaki jest dozwolony stopień grubości gazy na suknię tancerki, jaka jest normalna długość spódniczki Meluzyny, oraz jak wielki powinien być listek figowy, aby wrażenie estetyczne żywego obrazu, przedstawiającego nagą Psyche, nie przeszło we wrażenie zmysłowe. Posiadam śmiałość mniemać, że języki estetyki i moralności pomieszały się, jak ongi języki na równinie Senaar, i że wieża etyczna równie nie dosięgnie szczytu, jak i starożytna wieża Babel. Dalej, umysłowość moja posiada nader liczne a nieuleczalne wady. Potrafię, naprzykład, z niezmiernem zajęciem śledzić pantominę, gdyż doprowadza mnie ona do wniosku, że ludzie, kopiąc się i fikając przez siebie kozły, daleko wyraźniej skreślają swoje wzajemne stosunki, niż mogą to uczynić mową. Następnie bezpłodny geniusz fizyczny pomimowoli budzi we mnie podziw dla ogromu cierpliwości i wytrwałości ludzkiej, urągającej prawom wiązadeł mięśniowych. Przytem, podziwiając sztuki akrobatyczne, podlegam gorzkiemu złudzeniu, że myśl jest mniej giętką i dokładną w ruchach, niż ciało. Wreszcie w łamańcach ekwilibrystycznych upatruję niekiedy tę samą, acz bezpłodną zręczność, co w subtelnościach dzisiejszej myśli i współczesnego stylu, z tą tylko różnicą, że ekwilibryści literatury, mojem zdaniem, częściej podlegają upadkom i złamaniom, niż zwyczajni. Przytoczone wady odbierają mi talent przemawiania tonem kaznodziei, płaczącego nad zdrożnościami Babilonu, albo głosem lekarza-socyologa w rodzaju Nordaua, który w ostatniem swojem dziele (*Entartung*) tyle cech ludzi myśli i serca zaliczył do kategoryi obłędu, że doprawdy wstydziłbym się po tem być zupełnie zdrowym. Dla tych wszystkich powodów postanawiam być, o ile to będzie możliwem, jedynie zwyczajnym sprawozdawcą i tylko dla poinformowania czytelnika przedstawić parę obrazków tutejszej sceny, sąd moralny pozostawiając jego własnej dojrzałości.

Spojrzmy na scenę: oto kobieta, złożona, jak scyzoryk, we dwoje, przesuwa się w tej, zda się, niemożliwej pozycyi przez długi i wązki cylinder. Oto inna, ubrana w cienki trykot, prowadzi niebezpieczną walkę z młodymi krokodylami, szczerzącymi na nią z sykiem paszczę; czuć drżenie widzów śród ciszy, która zaległa teatr, ale roziskrzone zadowoleniem oczy kierują się ku widowni. A oto akrobata, z głową przechyloną w tył, wciśniętą pomiędzy wiszące w powietrzu nogi, na wykręconych rękach skacze ze stołu na ziemię, narażając się każdej chwili na pęknięcie kości pacierzowej; formą przypomina on w tej pozie raczej potworne stworzenie z bajki, niżli istotę ludzką.

A oto szereg szansonetek, sprowadzonych ze wszystkich stolic zachodniej Europy — olbrzymi materyał studyów nad różnicami temperamentu narodowego dla socyologów teatralnych (bywają i tacy). Paryżanka, śpiewając tłuste kuplety, po każdym geście nieprzyzwoitym robi taką niewinną minkę, jakby to, co zaszło, zaszło przypadkiem albo wcale nie zaszło. Niemka, przeciwnie, nawet w chwili gdy zachowuje się w granicach kodeksu *savoir-vivre*, sprawia wrażenie nieustającej fali ordynarności. Angielka, pod nieskończoną ilością spódniczek skromnie ukrywająca swoją nieskromność, fika nogami jakby dla wypełnienia świętego obowiązku. A ubrane to wszystko w stroje cudaczne, czarne pończochy i czarne spódnice, w kapelusze, prześcigające długością sukienki, z wyjątkiem szat, służących dla tańczenia „serpentyny,“ obszernością swoją mogących pokryć księstwo Monaco.

A oto klasyczne narodowe szansonistki, importowane oczywiście z Moskwy, błyszczące od brylantów: wymyślne ich tańce, lubieżne podrygiwania biustów, swawolne poruszenia ramion, wytwarzają prąd sympatyczny pomiędzy widownią a publicznością męzkiego rodzaju. Niepodobna odmówić im pewnej namiętnej poezyi zmysłów, jeżeli wolno przypuścić istnienie takiej poezyi. W grubo ociosanych kupletach probują one satyry objawów społecznych w rodzaju znanym i u nas.

Uprzywilejowane stanowisko zajmuje chór cygański. Śniade, o stalowych oczach i pono zimne, jak stal, cyganki zdawna są tutaj w modzie. Ich epileptyczne tańce, którym towarzyszą dźwięki tamtamów i dzikie okrzyki: hu — ha! znajdują zawsze chętnych widzów. Ostatnimi czasy widzi się jednak rzadziej na scenie ich czerwone narodowe kostiumy, oszyte złotem. Cyganki kręcą się głównie po ogródku, po salach i galeryach restauracyi teatralnej, gotowe każdej chwili na żądanie amatorów utworzyć chór i w specyalnym gabinecie śpiewać za grubą opłatą swoje piosenki. Co się składa na ich powodzenie, nie umiem powiedzieć: czy niezwykła oliwkowa cera twarzy, czy jakiś specyalny, urywany sposób śpiewania, czy łamany nielitościwie język ruski, czy może korporacyjna cnota, boć nie wiem, jak inaczej nazwać tę cnotę, zachowywaną dla dobra korporacyi, dzięki której pieszczoty cyganek na giełdzie roz-koszy stoją bardzo wysoko. Ten zbiorowy kapitał cnoty przynosi im zyski w formie brylantów, kosze mrożonego szampana za same uśmiechy olśpiewająco białych zębów, a niejednej już przyniósł tytuł żony lub przynajmniej stanowisko metresy. To ostatnie nie bezcześci cyganki w oczach ligi surowych towarzyszów i towarzyszek; za to improwizacye rozpusty, nieposzanowanie się *à la fourchette*, grożą przestępczyni napiętnowaniem i wydaleniem z chóru. Jeżeli która z nich robi jakieś jednowieczorowe ustępstwo z cnoty, to zastrzega sobie zazwyczaj u „szczęśliwego“ wybrańca bezwzględną dyskrecyę.

(D. n.).

Leo-Belmont.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

X.

Lubię przypatrywać się przez okno żłobkowi. W jednym pokoju znajdują się dzieci około 2 lat wieku. Wpuszczony za kartą, oglądam narzędzia. Po przez drzwi widzę marmurową wannę, wzdłuż ściany stoją szafy ze stosami czystej bielizny. Środkiem idzie zewsząd zamknięta balustrada, wewnątrz jest ona wysłana; kilkoro drobnych amerykanów uczy się umiejętności łażenia na czworakach i poznaje rozkosze towarzyskie. Nieco dalej olbrzymia kołyska-huśtawka w swoich objęciach usypia kilka innych niemowląt, wszędzie widać huśtawki pojedyncze. Przy ścianach stoją łóżeczka z kołyszącem się posłaniem, pokryte baldachimem, który łagodzi światło, ale nie pozbawia piersi dziecięcej powietrza. Co chwila wchodzi jakaś matka, popieści się ze swojem dzieckiem i znowu ginie — zwiedza wystawę. Cząstka falansteru!

Drugi pokój jest salonem starszego pokolenia, które już przestało trudzić się nad nauką stawiania nóg. Zamiast kołysek, rzędy łóżeczek, czyściutkich aż do przesady. Krzesełka i stoliczki — według miary gości, odwiedzających stale ten salon hotelowy. Na ścianach obrazy, takie, jakie przemawiają do trzechletniego umysłu; na ziemi kręgle, piłki.

W jednym i drugim pokoju kręcą się niańki, zakład bowiem jest jednocześnie szkołą tych pedagogiczek, a zachowanie się właścicielki wobec tych najniższych szeregowców armii wychowawczej jest inne, aniżeli naszych dam z froeblowskich zakładów względem bon. Ba, nie we wszystkiem Ameryka przoduje światu, *bossowie* amerykańscy — miejscowe miano pryncypałów — nie dorośli jeszcze do buty europejskiej.

* * *

Ostatecznie opuszczam „Przybytek dziatwy“ z pewnem przykrem uczuciem. Sztuka pedagogiczna stanęła tutaj do popisu w całej swojej doskonałości i okazałości. Ale te nowoczesne środki znalazły się nie w ręku osób, pojmujących nauczycielstwo jako kapłaństwo, ale należą do przedsiębiorców! Stały się dźwignią *businessu*. W takich warunkach „Przybytek dziatwy“ nie może być świątynią, na to musi czekać jeszcze bardzo długo. Dzisiaj jest pedagogiczną giełdą, kupczącą, blagującą, zachwalającą swój towar i myślącą o gesefcie.

10 lipca, Chicago.

Jednostajny odgłos bębnów dolatuje do mego ucha. Przyśpieszam kroku i wychodzę na *State-street*. Jeden rząd mężczyzn w szarym ubiorze, w jakim u nas paradują cykliści, posuwa się za innym — bez końca. Strój jednakowy od stóp do głowy, ka-

żdy szeregowiec trzyma w ręku laskę metaliczną. Od czasu do czasu przesunie się chorągiew z niemieckim napisem: *Turnverein.* Jest to pochód niemieckich towarzystw gimnastycznych z najrozmaitszych okolic Związku. Krawaty, barwa pasów, szarfy, odróżniają od siebie pojedyncze bataliony tej dobrowolnej armii.

Dziwne wrażenie czyni ten korowód, na który patrzę od dwudziestu minut. Wątpię, czy najlepiej wytresowane wojsko będzie szło w takim porządku i z takim zapałem. Szereg posuwa się spojny, ramię spoczywa przy ramieniu, ani jedna noga nie wyjdzie o cal dalej od innych. Bezwąsy młokos stąpa obok siwiutkiego starca w tym samym rzędzie. A oto publiczność oklaskami wita szeregi kobiece. Kilkadziesiąt dziewcząt w błękitnych kostiumach marynarskich maszeruje na przodzie jakiegoś batalionu z tą samą dumą i z tą samą miarową zgodnością kroku — istotny cud, kilka kobiet znalazło się razem i nie poczubiło się!

* * *

W kilka godzin później, na wystawie.

Znowu słyszę odgłos bębnów. To armia gimnastyczna, którą spotkałem rano w mieście, odbywa pochód po wystawie. Ta sama duma na czole. Ale niedaremnie maszerują oni od rana: na twarzy niejednej widać zmęczenie. Towarzysze prowadzą kogoś za ramię, zbrakło mu widocznie sił, ale niechce opuścić szeregu. Dziewczęta nadrabiają miną, ale ze zwisłych ramion przemawia znużenie. Starcy trzymają się najlepiej. Ale porządek dawny: pierś każda na równej linii z innemi, zapał w oku.

13 lipca, Chicago, na zjeździe folklorystów.

W ojczyźnie wujaszka Sama wszystko wygląda inaczej, aniżeli w rutynicznej Europie. Mól gabinetowy osłupiałby, gdyby zdarzyło mu się być świadkiem takiej „profanacyi" nauki! Świat przewraca się do góry nogami, bo uczeni zapomnieli o swojej olimpijskiej „powadze" i o swojem mandarynizmie i mieszają się z szarym tłumem profanów. Mój sąsiad, istne zero, którego wartość nie podniósł przejazd przez Atlantyk — *nomina sunt odiosa* — trąca mnie w plecy, a kiedy nachylę się, czyni ironiczne uwagi nad nienaukowym wyglądem kongresów amerykańskich. „Nie złapią mnie powtórnie" — odgraża się, aż wreszcie znudzony powtarzaniem tego samego w kółko, przechodzi do weselszych tematów: w duszy Wagnera odzywa się natura samca, uwagi o dyletantyzmie amerykańskim milkną, a nastają inne — o amerykankach.

W rzeczy samej mandaryni mają czem się gorszyć! W Europie — jestem w tem szczęśliwem położeniu, że mówię na podstawie doświadczenia — zbiera się grono kilkunastu uczonych mężów, otacza się murem chińskim, zamkniętym drzwi dla wszystkich profanów i rozbiera to lub inne kwestye naukowe. Zwykle rozbiór ów sprowadza się do grzecznego wysłuchania odczytu jakiegoś kolegi, cichego ziewania tak, ażeby prelegent tego nie spostrzegł i uczynienia dla przyzwoitości kilku uwag krytycznych. Tutaj, na lądzie amerykańskim, bywa zgoła inaczej. Olbrzymia sala, a w niej publiczności pełno. Uczone referaty przekształciły się na odczyty, a zjazd stał się tygodniowym szeregiem wykładów. Siedzimy na estradzie, jak gdyby za szkłami wystawowemi. Każdy z nas kolejno wchodzi na trybunę, wygłasza swoją rozprawę, otrzymuje oklaski lub, jeżeli znudził słuchaczów, widzi dokoła nieukrywane ziewanie. Reporterzy rysują oblicze i notują treść, to samo czyni ktoś wśród publiczności. Po odczycie jedna i druga dama z tłumu podchodzi, prosi prelegenta o zapisanie nazwiska w albumie lub chociażby na wachlarzu, niekiedy rozpytuje o szczegóły lub spiera się o wywody. Istny teatr! — jęczy mój sąsiad...

Niechaj będzie i teatr, ale że przynosi on sporo pożytku, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Publiczność oklaskuje niekiedy miernotą, jeśli jest efektowna, lecz w gruncie rzeczy nikt na tem nie traci. Nauka zlewa się z szerokim prądem życia, jako jeden z jego wirów, jej zdobycze zostają upowszechnione, posiadanie jej — zdemokratyzowanem. Popularność wykładu nie jest w antagonizmie z treścią i naukowością, a nadto nie koniecznie potrzebuje iść ręka w rękę z blagą.

* * *

Amerykanki, w miarę tego, im bliżej im się przypatruję, czynią wrażenie coraz sympatyczniejsze. W obecnej chwili mam na myśli moje towarzyszki ze zjazdu. Jest ich sporo, kilka będzie miało odczyty. Jedna jest prezesem jakiegoś towarzystwa folklorystycznego, inna odbyła podróż w głąb Afryki i umiała utrzymać w ryzie bandę kilkuset czarnych mężczyzn, którzy stanowili jej oddział. Każda taka niewiasta w Europie stałaby się nieznośną istotą dla swojej zarozumiałości, rodzajem pawia, bezustannie roztaczającego swój ogon. Dodajmy do tego nieodłączne pozory uczoności. Uczona europejska uważa za najpierwszy swój obowiązek małpować mólów gabinetowych, a ponieważ mózg kobiecy zwykle bywa subtelnie wrażliwym na drobiazgi — odzieży, obejścia, piękna, przeto krecią naturę dyplomowanej uczoności doprowadza ona do niemożliwego wykończenia.

W moich koleżankach nie dostrzegam ani śladu pawicy: rzecz widoczna, że udział w zjazdach i występach publicznych przestał być dla niej rzadkością. Nie zauważyłem również owego małpowania. Może natura folkloru, który wciąż jest areną dyletantyzmu i zbiorem ślimaków, nie pozwala uwydatnić się tej właściwości.

* * *

Pomiędzy referentkami znajduje się kilka młodych *misses*, z zapadłych ustroni Związku, coś w rodzaju amerykańskiego Pacanowa. Zachowanie się ich świadczy, że zrosły się z życiem publicznem. Każda śmiało i spokojnie wypowiada swoje poglądy. Zwłaszcza jedna nasuwa mi kilka uwag. Uderzająco podobna do jednej z moich warszawskich znajomych, osoby inteligentnej, ale która wobec takiej publiczności naprzód zaczerwieniłaby się, później nerwowo roześmiała się i może w końcu utraciła zdolność mowy członkowanej. Amerykanka nie rumieni się, jej głos nie faluje nerwowo. Wygłasza swój odczyt, jak gdyby była w kole najbliższych przyjaciół.

15 lipca, Chicago.

Poznaję Chicago lepiej. Olbrzymie to miasto rozsiadło się na przestrzeni kilkakroć większej, niż Paryż, a niektóre ulice posiadają po kilkanaście mil angielskich długości. W swojem łonie kryje ono nietylko brudy i zakopcone domy, jak sądziłem pierwszego dnia. Nie wiem, czy istnieje kraj, w którym plutokracya tak umiała skrupulatnie wyodrębnić siebie i wydzielić zpośród reszty śmiertelników. Noga pracującego Michela depcze jeszcze po bruku ul. Wiktoryi i innych dzielnic zachodniego Berlina, ale w Ameryce dwa narody, plutokracya i pracujący śmiertelnicy, niemal że nie wiedzą o swojem istnieniu. Są osoby, które po kilka lat przebyły w Chicago i sądzą, że miasto to na całej swojej przestrzeni jest jednem olbrzymiem śmietniskiem.

Przy parku Lincolna, wzdłuż brzegów Michiganu, ciągnie się urocza miejscowość, odświeżana w letnie skwary łagodnym wietrzykiem z jeziora, opłukiwana codziennie wodotryskami z pomp automatycznych, pełna drzew, uśmiechająca się mnóstwem trawników. Wśód bujnej zieloności wznoszą się budynki, które skradły styl wszystkim czasom i miejscom i wskrzesiły go tutaj w tej oprawie z trawy i wody. Feodalne zameczki i średniowieczne gotyki, maurytańskie pałace i szwajcarskie domki, wszystko to pląsze się i swoją różnobarwnością wabi wzrok ku sobie. To rezydencye plutokracyi! Asfaltowe ulice, granitowe chodniki, żaden tramwaj, ani wóz nie turkocze po bruku, cisza wiejska ze świeżem powietrzem. Ani śladu kurzu i brudu, ani odrobiny sadzy na murach i trawnikach. Tylko tam na widnokręgu wznosi się jakaś chmura, czarna, złowieszcza. Może huragan się zbliża? Nie, to atmosfera, zwieszająca się nad Chicago zwykłych śmiertelników.

Kiedyś rzekłem, że Chicago czyni na mnie wrażenie, jak gdyby do kupy złożono setkę Przasnyszów i Szreńsków. Teraz winienem dodać, że każdy taki Szreńsk posiada inną fizyognomię. Jeden spoczął w powijakach tumanu sadzy, inny kąpie się w odorach od wyziewów cholerycznej delty Gangesu, od wędliniarni i kałuży gnojnych. Inna dzielnica jest jeszcze kompletną wioszczyną, ulice niezabrukowane, przestrzenie nieogrodzone, za domkami łany zboża i warzyw, wzdłuż chodnika poczciwe wierzby, ten symbol niedołęztwa naszego wieśniaka. Gdzieindziej parki, otoczone wieńcem wdzięcznych will, albo prywatne miasteczka, jak osada Pullmana. Rzeczywisty kalejdoskop małomiasteczkowej różnobarwności.

L. K.

M. E. ANDRIOLLI.

(Wspomnienie pozgonne).

Ten człowiek jeżeli czem uderzał, to życiem, niewyczerpanym zasobem sił. Kto umiał w krótkim czasie oblecieć niemal całą Europę, przerzucać się z Wilna do Petersburga, z Petersburga do Londynu, Paryża, Warszawy, odbywać konno setki mil, malować, rysować, zakładać fermy, budować letnie mieszkania, ten chyba nie robił wrażenia skazanego na śmierć przedwczesną. A może jeszcze mniej podobną wróżbę mógł nasunąć wygląd Andriollego. Ten krzepki, ruchliwy, z czarnem, płomiennem okiem mężczyzna zdawał się urągać wszelkiej słabości i śmierci. A jednakże nosił on w sobie zabójczą chorobę raka, która urągała wszelkim środkom lekarskim i w 54 roku przecięła nić jego żywota. Okazało się, że ruchliwość i energia Andriollego nie były objawem zdrowia, ale rasy. Krążyła w jego żyłach połowa krwi włoskiej, z której tryskał ogień, rozpęd, polot artystyczny połączony z zabiegliwością praktyczną i ta niestrudzona ruchliwość, która znamionuje synów Italii.

Przeznaczony przez ojca na lekarza, wkrótce wyskoczył z tego przymusowego toru i zwrócił się tam, dokąd go natura rwała. Ani wszakże w Petersburgu, ani później w Londynie nie zyskał rozgłosu, który zawdzięcza Warszawie. Rzeczywiście pierwsze jego rysunki, które pomieścił w tutejszych pismach ilustrowanych (przypominamy śliczną dziewczynkę w prospekcie *Kłosów*), zastanowiły wszystkich swoją oryginalnością i wielkim wdziękiem. Andriolli szybko zyskał nimi sławę i popyt. Wszystkie ozdobniejsze wydawnictwa (Mickiewicza, Słowackiego, Kraszewskiego, Chodźki itd.) wychodziły ilustrowane jego ołówkiem. Jednocześnie zasilał obficie tygodniki obrazkowe, rysował serye kartonów, a nawet próbował pędzla, który wszakże mniej odpowiadał jego zdolnościom. Z tych prac złożyła się galerya,

świadcząca o niezwykłej płodności artysty. Jakkolwiek umarł w sile wieku, dawno już zatrzymał się w rozwoju swego talentu, a nawet poniekąd cofnął go o parę stopni. Faktem jest, że pierwsze rysunki Andriollego stoją znacznie wyżej od ostatnich. Czy to skutkiem zbytniego pośpiechu w tworzeniu, czy skutkiem omdlenia sił, skrzepnął on w manierze, po której można było go zawsze i wszędzie poznać, ale która nadwyrężała zasadnicze warunki sztuki. Wszystkie postacie, wychodzące z pod jego ołówka, były dziwacznie pokręcone, ich grupy plątały się w nienaturalny węzeł pogiętych ciał, najspokojniejszy obrazek przedstawiał widok jakiegoś paroksyzmu. Już wpadłszy w tę manierę powołany został przez wydawcę francuskiego do ilustrowania Shakespeare'a; szybko jednak przerwał to zajęcie, gdyż ono nie dogadzało smakowi francuzów, którym pierwsze rysunki mogły się podobać swą oryginalnością, ale następne już nużyły.

Gdyby Andriolli posunął się był dalej w tym stylu, w jakim rozpoczął swą karyerę artystyczną u nas, byłby niezawodnie zyskał wielką sławę nietylko śród swoich ziomków, ale i zagranicą. jako znakomity ilustrator. Maniera, która go uwiodła, przycięła skrzydła jego talentowi. W każdym razie był on w dziedzinie naszego rysownictwa niezwykłą i bardzo błyskotliwą gwiazdą, której śmierć artysty nie zgasiła.

Umarł w Nałęczowie, gdzie daremnie szukał ratunku na nieuleczalną chorobę i gdzie spoczęło jego ciało w wieńcach i kwiatach.

PAMIĘTNIK.

Ziarnko do ziarnka.

Szczycili się niemcy tem, że ich sprawozdanie z wojny francusko-pruskiej nie wykazało ani jednego uchybienia i sprzeniewierzenia w czynnościach intendentury, że cała obsługa i zaopatrzenie wojsk w żywność odbyło się z zegarkową i sumienną dokładnością, że nikt nie ukradł ani feniga, a wszyscy mieli w porze właściwej to, czego potrzebowali. Nie myślimy im odmawiać akuratności w spełnianiu obowiązków i przezorności, która zawczasu każe przygotowywać się na wszelkie wypadki, ale czasem ten chwalebny skądinąd pedantyzm jest po prostu chciwem sięganiem do cudzej kieszeni. Tak np. obecnie kazano od każdego flisaka, płynącego z drzewem do Gdańska, ściągać po 10 m. na koszta leczenia go w cholerze. Jest to po prostu zdzierstwo. Naprzód bowiem każde państwo cywilizowane posiada środki na pokrycie nieprzewidzianych wydatków, na jakie narazić je mogą obcy poddani, a ponieważ ponoszą tę ofiarę wszystkie, więc wzajemnie w niej wyrównywają się. Jeżeli niemiec ukradnie coś we Francyi lub Anglii i jest sądzony na miejscu, to przecież ani Francya, ani Anglia nie wymaga od Niemiec zwrotu kosztów utrzymania więźnia. Powtóre, jakkolwiek roku zeszłego zachorowało istotnie na cholerę w Toruniu kilku flisaków, a jeden z nich nawet przywlókł ją do Warszawy, mimo to nie stwierdzono bynajmniej, ażeby ta zaraza ze szczególnem upodobaniem czepiała się flisaków. Dlaczegóż więc tylko ich opodatkowano? Ale nie wywolujmy wilka z lasu. Bo może Niemcy każą wszystkim, wchodzącym i wjeżdżającym do ich kraju uiszczać również opłatę „na wypadek cholery." Nie jest to wcale możliwość leżąca po za granicami prawdopodobieństwa. Przed 13 laty pierwsze Niemcy nałożyły na poddanych ruskich haracz w postaci myta za wizy paszportowe. Że ciężar ten nie miał wcale charakteru politycznego lub nawet policyjnego, lecz czysto fiskalny, przekonywa fakt, że niezaopatrzonym w owe wizy i zatrzymanym np. w Otłoczynie, kazano je sprowadzać telegrafem z... Nieszawy i tamże posyłać należność. Przypuszczamy, że konsulat niemiecki w Warszawie może mieć jakieś powody zaświadczania lub niezaświadczania paszportu warszawiakowi, ale co o nim wie konsulat nieszawski? Widocznie zatem chodzi w tym obowiązku tylko o wypompowanie z tutejszej ludności pewnej sumy rubli, która może jest tak wielką, że pokrywa zupełnie koszta utrzymania konsulatów. W mycie, nałożonem na flisaków, otworzono sobie nowe źródełko dochodu, zapewne, nie zbyt obfite, ale „ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka"— dopóki się nie przebierze. To też gdyby władze tutejsze opodatkowały nawzajem komiwojażerów niemieckich, którzy więcej kręcą się po świecie i łatwiej mogą roznosić cholerę, niż flisacy, byłby to odwet usprawiedliwiony.

Dla robotników.

Zarząd kolei Terespolskiej otrzymał zawiadomienie od zarządu dróg skarbowych o bardzo ważnem postanowieniu: mianowicie, robotnicy, pracujący w warsztatach kolejowych, którzy przebyli w nich lat 10, przy wyjściu ze służby czy to z powodu starości, czy kalectwa, czy też wskutek rozporządzeń administracyjnych, mają prawo do jednorazowego wsparcia w stosunku średniego zarobku miesięcznego, pomnożonego przez ilość wysłużonych lat. Mnożnik ten jednakże nie może przewyższać liczby 12, czyli że robotnik nie może otrzymać więcej nad roczny swój zarobek, chociażby w swej służbie przekroczył 12 lat.

Nowoje Wremia wyjaśnia inną sprawę, dotyczącą robotników. „Możemy zapewnić z wiarogodnego źródła — pisze ono — że ministeryum finansów poleciło niedawno komisyom fabrycznym piotrkowskiej i warszawskiej opracować i przedstawić mu normalne ustawy kas dla robotników, które też niedawno złożono. Według zebranych przez ministeryum informacyj okazało się, że w guberniach Królestwa Polskiego oddawna istniały w niektórych fabrykach kasy pomocy lekarskiej (*Kranken Kassen*), nie zupełnie zgodne z obowiązującemi prawami. Kapitał tych kas tworzył się z kar oraz dobrowolnych potrąceń z pensyi w stosunku 1—3%, przyczem w razie braku pokrycie potrzebnej sumy brali na siebie właściciele fabryk. Zawiadywanie kasami znajdowało się w rękach właścicieli zakładów przemysłowych, lecz do sprawdzania rachunków dopuszczani byli delegowani z pośród robotników. Ministerya spraw wewnętrznych i finansów uznały istnienie tych kas, na podobnych zasadach, za nielegalne i zaproponowały komisyom opracowanie ustawy normalnej. Jednocześnie postanowiono: 1) działalność kas powinna się ograniczać do wydawania zapomóg robotnikom, którzy zachorują, oraz ich rodzinom, ponieważ na zasadzie prawa z d. 23 czerwca 1891 r. fabrykanci nie mają prawa pobierać zapłaty za pomoc lekarską, dostarczoną robotnikom; leczenie robotników ciąży wyłącznie na fabrykancie; 2) używanie funduszu z kar na użytek kasy winno być wzbronione; 3) wolno jest na użytek kasy robić potrącenia z pensyi robotników, pod warunkiem jednak, aby: a) na to pozyskane było za każdym razem pozwolenie komisyi fabrycznej i zgoda samych robotników; b) aby wysokość potrąceń nie przewyższała 3%; 4) gdyby właściciele fabryk i zakładów przemysłowych, przy których istnieją kasy, uznali za stosowne zamknąć je, wtedy komisye winny przelać pozostałe kapitały do funduszu z kar, dla postąpienia z niemi według przepisów, zatwierdzonych przez ministerya finansów i spraw wewnętrznych. Opierając się na tych danych, ministeryum przystąpiło obecnie do ostatecznego opracowania ustaw normalnych kas tego rodzaju. Projekt złożony będzie w radzie państwa do zatwierdzenia."

W dalszym ciągu.

Ministeryum skarbu postępuje coraz dalej po drodze opanowywania stosunków handlowo-giełdowych z zagranicą. Znane są przepisy i okólniki, dotyczące wywozu rubli, przywozu obcych monet srebrnych, gry na zwyżkę ich i zniżkę itd. Obecnie Bank państwa rozesłał warszawskim domom handlowym okólnik Kancelaryi kredytowej ministeryum finansów, żądający peryodycznych sprawozdań o operacyach, dokonywanych z zagranicą. Sprawozdania te, obejmujące wszelkie tranzakcye zagraniczne, składane być mają co miesiąc; nadto cztery razy na miesiąc powinny być dostarczane Bankowi krótkie streszczenia tych operacyj. Na podstawie takich wykazów Kancelarya kredytowa opracowywać będzie ogólny rachunek wypłat względem zagranicy. Jak widzimy, pragnie ona być powiadomioną i rozciągać kontrolę nad całym obszarem stosunków pieniężnych z zagranicą, ażeby w potrzebie na nie oddziaływać. Rzecz naturalna domy handlowe, będą musiały wprowadzić do swej maszyneryi zupełnie nowe koła i wytworzyć w niej nieznane im dotąd funkcye. Dotychczas bowiem zdawały one sprawę z wszelkich swych działów tylko sobie, ujawniając zaledwie ostateczne rezultaty. Teraz dość znaczna sfera obrotów musi być odsłonięta, przynajmniej dla władz ministeryum skarbu.

Popłoch lichwiarzów.

Wobec wielkich i dowcipnych ostrożności, jakiemi lichwiarze otaczają swe stosunki z dłużnikami, wobec niepokonanej często trudności stwierdzenia faktu lichwy, można było zgóry przypuszczać, że wydane przeciwko niej prawo będzie siecią o dużych okach, przez które przemkną się nawet duże ryby i uwięźnie chyba tylko jakiś rekin. Otóż świeżo złapał się tego rodzaju niszczyciel w Petersburgu. Jeden z urzędników kolejowych oskarżył przed sędzią pokoju jakiegoś budowniczego, który wypożyczał mu drobne sumy na 10% miesięcznie a nadto „dla pewności" brał weksle na zdwojone kwoty. Jak zeznali świadkowie, zrujnował on tą straszną lichwą cały szereg swych ofiar. Sędzia nie uwzględniwszy jego obrony, że tranzakcye swoje zawarł przed wydaniem prawa, które nie może obowiązywać wstecz, skazał go na $2\frac{1}{2}$ miesięcy więzienia. Ta właśnie strona sprawy wywołała popłoch śród lichwiarzów. Na dzisiejszą dobę wymyślili oni sobie rozmaite płaszczyki, którymi się zakryją przed odpowiedzialnością, ale co zrobić z dawnymi grzechami, jeżeli one mają być teraz karane? Żaden Aron Migdał lub Kusociński pomimo całej swej przebiegłości nie mogli byli przewidzieć, że kiedyś wydane będzie prawo, które cofnie się wstecz i zawiesi nad nimi miecz Damoklesa. Jak donosi jedno z pism naszych, zaczęli oni pospiesznie wyprzedawać wszystkie weksle „kłopotliwe" lub też układać się z dłużnikami, żądając bardzo skromnych procentów. Czyżby przyszły dobre czasy dla much a złe dla pająków? Nie sądzimy, ażeby jakakolwiek ustawa utrzymała ich stale w swych kleszczach. Rozgłoszony przez wszystkie dzienniki wypadek petersburski nie popiera wcale ich wniosku, że lichwa zaczyna konać, podczas gdy ona co najwyżej poczuła nieprzyjemne dreszcze. Pomyślmy bowiem, ile w całej Rosyi od wydania nowego prawa dano i wzięto pożyczek lichwiarskich — z pewnością tysiące — a z tych tysięców dopiero jeden winowajca stanął przed sądem i poniósł karę. Czyż to dowodzi, że świeża siła zgarnia ze spo-

łeczeństwa gromady niszczących pasorzytów? Bynajmniej, chyba raczej świadczy o tem, że ich żaden znany w obecnem prawodawstwie sposób nie wytępi. Od chwili jak lichwa narodziła się, a narodziła się wraz z człowiekiem, usiłuje on ją wyplć i widzi ciągle odrastającą — z korzenia. Kto jej korzeń wyrwie — usunie chwast. Kiedyś, kiedyś to niezawodnie nastąpi.

Kasa Mianowskiego.

Kasa imienia Mianowskiego ogłosiła sprawozdanie (XI) ze swych czynności za rok 1892. Nie znajdujemy w niem żadnego szczegółu, któryby zasługiwał na podkreślenie: powtarza się ten sam młynek pożyczek bezprocentowych, zapomóg warunkowo zwrotnych i bezwzrotnych, udzielanych tym, którzy istotnie pracują naukowo i tym, którzy udają, że pracują. Blizko 15 tysięcy rubli wypłaconych na ten cel w ciągu roku nie jest zapewne sumą olbrzymią, ale tak poważną, że jeśli wypływa od lat jedenastu, powinnaby zaznaczyć się daleko wyraźniejszymi skutkami, niż te, które widzimy. Wina to niewątpliwie tak zwanych „osób pracujących na polu naukowem," które w znacznej części zużytkowały osiągniętą pomoc materyalną słabo. Zarząd Kasy jest miłosierny, ach, jak miłosierny! — jeżeli więc daje zasiłek na wydanie przekładu Korneliusza Neposa lub (jeszcze raz) *Iliady*, albo wreszcie na wycieczki turystyczne, to z pewnością nie odmówiłby poparcia przedsięwzięciom naukowym wyższego znaczenia. Ale, niestety, brak amatorów do takich zadań.

Członków rzeczywistych, dostarczających głównego wpływu Kasie, było w roku ubiegłym 671. Nie pamiętamy, czy cyfra ta w porównaniu z poprzedniemi zawiera jakiś przyrost, czy ubytek („Sprawozdanie" różnic nie zaznacza). Wszakże jak na naszą niewytrwałość i słabe przypominanie się tej instytucyi ogółowi — jest to dosyć dużo. „Dzielni" i „sprężyści" posiadają więcej członków, ale ileż oni urządzają balów, regat i recordów! Kasa zaś pędzi żywot tak cichy, że dopiero ze sprawozdań rocznych dowiadujemy się o zmianach w jej zarządzie.

SPRAWY EKONOMICZNE

ROLA DZIEJOWA RYNKÓW.

II.

Rynkami zewnętrznymi dla społeczeństw rozwiniętych przemysłowo stają się mniej rozwinięte, gdzie z wyrobami miejscowymi łatwo konkurować. Jeżeli dwa takie kraje znajdują się obok siebie — przemysł silniejszego przygniecie sąsiada i nie pozwoli mu swobodnie rozwijać się, wysysając zeń jego środki organizacyjne — pieniądze. Na rynek słabszego przybywają towary, tańsze i lepsze od miejscowych, produkowanych za pomocą metod pierwotnych, i zyski spływają do silniejszego. Przemysł miejscowy, tracąc spożywców, upada; otrzymane ze sprzedaży pieniądze, ponieważ wymiana nie jest tu obustronnie zrównoważoną, uciekają stale za granicę i ogólna masa ich w kraju zaczyna się uszczuplać. W krajach więc wysyłającym i kupującym towary zajdą procesy różne. W pierwszym dopływ pieniężny wywoła wzmożenie się produkcyi na wywóz, co zwiększy zapotrzebowanie rąk roboczych i zarobków, a to znowu wywoła wzrost spożycia, a zatem i produkcyi na rynek wewnętrzny, co w dalszym ciągu da impuls do zwiększenia płacy i spożycia itd.; słowem, objawi się tu ożywienie w przemyśle i przyspieszony jego rozwój. W drugim — nastąpi zastój, wielu wytwórców, pobitych w walce konkurencyjnej, zostanie pozbawionych zajęcia, zarobki i spożycie uszczuplą się, a prąd pieniężny skieruje się do sąsiada. Przypuśćmy, że wytwarza się tam *n* gatunków rozmaitych towarów, wzajemnie się wymieniających. Ale oto wtargnął jakiś towar obcy, np. płótno. Dawniej nabywane ono było u miejscowych tkaczów, którzy za otrzymane pieniądze kupowali również u miejscowych wytwórców inne towary. Teraz płótno nabywają u obcych, a zapłacone za towar pieniądze uciekają za granicę. Nie dość więc tego, że tkacze pozbawieni zostali zajęcia, że płaca robocza spadła, ale inni wytwórcy cierpią również, ponieważ pozbawiono ich spożywców, którymi byli tkacze. Podobnież zjawiać się mogą na rynku tego kraju wszelkie inne obce towary, a pojawienie się ich wywoła ten sam skutek: rynek, zarobki i skala życiowa mieszkańców będą się zmniejszać, a pieniądze uciekać do sąsiada.

Miejscowi jednak wytwórcy nie ustąpią odrazu, ale będą się starali wszelkimi sposobami utrzymać się na stanowisku, obniżając cenę swoich towarów i zarobki. Gdyby zrobiła to jedna tylko gałęź produkcyi, nie mogłaby wytrwać przez dłuższy czas, bo sprzedając tanio, musianoby kupować drogo; ale jeżeli zrobi to wiele gałęzi, to ostatecznie tanie towary będą się wymieniały na tanie i życie stanie się możliwe. Sprawi to zdrożenie pieniędzy w danej miejscowości, co już zacznie utrudniać napływ obcych produktów. Pieniądze jednak tanie lub drogie nie mają dla ludności jedynie znaczenia rachunku za pomocą arabskich lub rzymskich cyfr, gdyż z procesem wznoszenia się lub upadania ich wartości łączy się zmniejszenie lub wzrost produkcyi i spożycia. Tutaj ze wzrostem wartości pieniędzy nastąpiła ogólna obniżka skali życiowej; jedne gałęzie wytwarzania zanikły, inne zepchnięto do zakątków drobnego, głównie reperacyjnego przemysłu, inne znowu, specyalnie miejscowe, jak produkcya soli, nafty oraz wytworów rolnych i materyałów surowych, zaczną wysyłać swój towar na obce rynki. Zdolność więc nabywcza tego kraju, wraz z odpływem prądu pieniężnego, będzie się stale zmniejszać, a jednocześnie pod naciskiem potrzeby zacznie się wzmagać wywóz wzmiankowanych specyalnych produktów i trwać to będzie tak długo, aż owe dwa prądy, odpływowy i dopływowy, nie zrównoważą się. Producenci tych przedmiotów wywozu będą nabywali przeważnie wytwory zagraniczne i tym sposobem pewne gałęzie produkcyi będą włączone w stałe koło wymienne z krajem sąsiednim, inne zaś zostaną z niego wyłączone.

Kraj taki, zrujnowany najazdem towarowym i wyssany ze swoich organizacyjnych środków, będzie i nadal odczuwał na produkcyi przygniatające ciążenie swojego mocniejszego sąsiada, który postara się wyzyskać każdy przejaw jego zdolności nabywczej, dostarczając natychmiast odpowiednią ilość swoich towarów i niepozwalając tym sposobem na rozwój miejscowego wytwarzania. Udziałem jego będzie ogólna bieda i nizka skala życiowa ludności — stan włościański z produkcyą głównie na swoją potrzebę za pomocą najpierwotniejszych metod, z nieodłączną ciemnotą i zdziczeniem, jako dający najpewniejsze środki istnienia, stanie się tam formą panującą, i położenie to będzie zupełnie niezależne od właściwości umysłowo-fizycznych mieszkańców. Stać się może, iż po pewnym czasie to samo, wyssane niegdyś kapitały, powrócą nazad jako własność obcego kapitalisty, ażeby na nowo rozpocząć tam działalność organizacyjną. (Gdyby na rynek takiego kraju przybywały jedynie ulepszone narzędzia pracy, wpłynęłoby to na wzmożenie produkcyjności jego i ogólny rozwój — na ile nie przeszkodziłby temu warunek równomiernego wznoszenia się płacy wraz z wytwórczością; ale kapitaliści są na tyle usłużni, że gotowi zaspokoić wszystkie nasze potrzeby, że oprócz narzędzi i maszyn gotowi są również dostarczać i zboża, i odzieży i wogóle wszelkich przedmiotów użytku, co stałoby się niezawodnie, gdyby nie wysychało źródło pieniężne).

Obraz powyższy spostrzedz można tylko w społeczeństwach, postawionych w wyjątkowo niekorzystnem położeniu (Galicya), kraje bowiem ekonomicznie słabsze starają się zwykle rozmaitymi sposobami, jak cła, taryfy i wszelkiego rodzaju protekcyonizm, osłabić nacisk silniejszych. W każdym jednak razie, czy owe środki zaradcze są stosowane, czy też nie, nastąpić w końcu musi zrównoważenie dopływu i odpływu pieniężnego, a chwila ta dla kraju wyzyskującego będzie fatalną. Odkryto bowiem źródło dopływowe wywoła silny rozwój, ściągnięte zyski obrócą się znowu na wzmożenie produkcyi wywozowej, ożywienie przemysłowe przyczyni się do wzrostu zarobków i spożycia, powodując wzrost produkcyi na potrzeby miejscowe itd. Z chwilą jednak zrównoważenia zysków — całej masy wyprodukowanych na wywóz towarów nie ma już kto kupować i następuje proces wsteczny: wiele fabryk upada, rynek wewnętrzny kurczy się z powodu wyrzucenia na bruk masy robotników, ci współzawodnictwem swojem obniżają płacę pozostałych, co potęguje w dalszym ciągu ten upadek wśród obfitości nagromadzonych bogactw — słowem, następuje przełom ekonomiczny, podczas którego zdobyte kapitały układają się w nowym porządku, jak szkiełka w kalejdoskopie za wstrząśnieniem.

Widzimy więc, że dany rynek zewnętrzny może służyć tylko przez pewien czas jako rosa ożywcza dla rozwoju produkcyi i w dalszym ciągu nastąpić musi włączenie pewnych gałęzi przemysłu wyzyskującego i wyzyskiwanego kraju w stałe koło wymienne, które, jak i rynek wewnętrzny, nie może dać dopływu pieniężnego. To jest przyczyną poszukiwania coraz nowych przez społeczeństwa kapitalistyczne. Zdobywane są one różnymi sposobami i na rozmaitych przestrzeniach; każdy z nich jednak dąży do zrównoważenia swojego odpływu i dopływu pieniężnego i zyski kapitalistów urywają się. Zalecane na niedomaganie produkcyi lekarstwo jest czemś w rodzaju wstrzykiwania morfiny: zażyta dawka wywołuje chwilowe podniecenie, a następnie upadek sił i wymaga w dalszym ciągu podwojenia dozy.

Ustawiczna pogoń za rynkami posiada swoje cywilizacyjne znaczenie. Dla społeczeństw, stojących przynajmniej na niższych stopniach cywilizacyi, straszną jest chwila tylko pierwszego napływu wielkoprzemysłowych produktów, wywołujących w łonie ich rozkład i upadek. Po zastosowaniu środków ochronnych i zrównoważeniu się wymiany zaczynają one zdobywać na swoją rękę dopływ pieniężny, połączony z rozwojem produkcyi już według nowych metod, zapożyczonych od sąsiadów. Na pomoc przybywają wyssane niegdyś kapitały, które zgromadziwszy się we względnym nadmiarze w wysysającym je kraju, przelewają się przez granicę. Ostatecznie zapanowywa tam nowa forma ustroju społecznego i produkcyi, która, chociaż nie jest doskonałą, ale w każdym razie wyższą od poprzedniej. Tego zodzaju wpływ kulturalny zaznaczył się w bieżącem stuleciu bardzo szeroko i wiele krajów obecnie cywilizowanych zawdzięcza to głównie stosunkom handlowym. Innym jest los społeczeństw barbarzyńskich lub dzikich. Dla nich jedyną ochroną staje się zabójczość klimatu, febra żółta lub cholera. Biada zamieszkującym ziemię, na któ-

rej przebywać może biała, cywilizowana rasa aryjska. I tam wprawdzie rozwinie się przemysł i kultura, ale co irokerom lub tasmańczykom z rozkwitu posiadanych niegdyś krajów, kiedy ich szczep wymiera!

Jeżeli spojrzymy z pewnego punktu widzenia na glob ziemski, przedstawi się on w postaci szeregu krajów z olbrzymiemi przestrzeniami nieuprawnej dotychczas ziemi i masą niewyzyskanych jeszcze bogactw naturalnych. Ludność ich nie umie odpowiednio zorganizować swoich sił bez pewnych znaczków metalowych i papierowych, których ilość jest ograniczoną a wyrób świętością. O te znaczki toczy się walka, do której przystępują coraz nowe kraje, a bronią walczących jest towar. Zobaczmy więc, co społeczeństwa zyskują na tej walce i co im dają wytwory ich pracy jako towar.

(D. n.).

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Przetargi mięsne. Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło okroić część haraczu, pobieranego przez wielkich handlarzów bydła, regulując cenę mięsa, ustanawianą dotychczas dowolnie. Zarówno brak paszy, jak i jej urodzaj służył za powód do podnoszenia ceny mięsa: w pierwszym wypadku handlarze twierdzą, że mięso drogie, gdyż pasza droga, w drugim powołują się na to, że wobec obfitości karmu włościanie nie chcą sprzedawać bydła. Według *Kur. warsz.*, inicyatywa normowania cen mięsa wyszła z warszawskiego magistratu i objęta była planami b. prezydenta miasta, gen. Starynkiewicza; brak środków nie pozwolił na razie uskutecznić zamiarów. W naradach wyznaczonej do tej sprawy komisyi, składającej się z urzędników i specyalistów w Petersburgu, uznano za konieczne zorganizowanie przy zarządach miejskich specyalnych biur, które zajmą się urządzaniem przetargów na dostawiane bydło. Hodowcy, nieokreślając cen, będą przysyłali je na ręce przedstawicieli biura, które otrzymane z licytacyi pieniądze, po odtrąceniu kosztów przewozu, zwróci wysyłającym. Sprzedaż urządzana będzie na pudy żywego bydlęcia, co umożliwi udział w przetargu drobnym rzeźnikom. Biura takie powstaną w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Odesie, Kijowie, Wilnie itd., wogóle w miastach z obszernem spożyciem mięsa. Postanowiono również starać się o wyjednanie udzielania za pośrednictwem Banku państwa zaliczek na wysyłane bydło, co pozwoliłoby hodowcom uwolnić się z pod przewagi spekulantów-handlarzy, korzystających zwykle z położenia sprzedających i nabywających bydło za tani grosz. Dla ludności miast sprawa uregulowania cen jednego z najważniejszych produktów spożywczych jest rzeczą wielkiej doniosłości. Projekt uwzględnia również interesy hodowców, a zamierza obciąć jedynie wygórowane zyski wielkim handlarzom, ustanawiającym dowolnie ceny. To też opozycya zaznacza się tylko śród przedstawicieli ostatnich. Dowodzą oni, że uchwalone środki nie przyczynią się wcale do unormowania cen mięsa.

— W *Zbiorze taryf* ogłoszono nową obniżkę opłaty za przewóz zboża we wszelkich postaciach ze stacyj kolejowych w obrębie państwa do punktów pogranicznych austryackich i rumuńskich. W porównaniu z taryfą, obniżoną 13 sierpnia r. b., zmniejszono ją o 40%. Za pierwsze 120 wiorst opłaca się po 25 kop. od wagonu i wiorsty; od 120—1537 w. do opłaty za 120 w. dodaje się po rs. 4 kop. 50 od wagonu i wiorsty; przy dalszej odległości pobiera się 6,1 kop. od wagonu i wiorsty. Nowa taryfa obowiązuje od 23-go sierpnia r. b. Koleje austryackie obniżają również swoje taryfy w komunikacyi ze Szwajcaryą i Francyą do 20 r. i z Włochami do 100 rs. od wagonu; znoszą również opłatę za przeładowanie i przewóz liniami łączącemi. Spodziewane są dalsze ulgi.

— Urzędy celne na komorach otrzymały wyjaśnienie, że ilość bagażu przewożonego przez pasażerów, przekraczająca normę, powinna być oclona według podwyżki, stosownie do swojego pochodzenia, w braku zaś dowodów na to, według taryfy podwyższonej 16-go lipca 1893 r.; normalna ilość podlega ocleniu według ogólnej taryfy z r. 1891.

— Władze pruskie nie wpuszczają przez granicę siana z Rosyi. Dotychczas wymagały tylko świadectwa, że pochodzi z miejscowości zdrowych i wolnych od chorób zakaźnych na bydło.

— W Łodzi i Lublinie formują się syndykaty handlarzów naftą. Dotychczas za pud jej płacono w Łodzi 1 rs. 26 kop., syndykaty zaś starają się podnieść cenę do 1 rs. 60 kop.

— Dla zapobieżenia fuszerce budowlanej wyznaczono w Warszawie komisyę, mającą zwiedzać wszystkie roboty i zawieszać prowadzone przez majstrów niefachowych lub ze złego materyału.

— W Białymstoku czynnych jest 142 fabryk: 42 sukienniczych, 50 przędzalni wełny, 13 chustek i kołder wełnianych, 5 jedwabiów, 1 kapeluszów itd.

— Według *Now. wr.* prowadzą się układy o zmianę traktatu handlowego z Turcyą.

— Agentury handlowe kolei żelaznych przeszły pod zarząd departamentu do spraw kolejowych. Zadaniem ich będzie badanie okolicy pod względem korzyści przewozowych i ułatwianie stosunków handlowych interesantom kolejowym.

— Podwyżkę cła na towary niemieckie rozciągnięto również i na Finlandyę.

— Otwarto świeżo ukończony kanał Korynckl. Znaczenie jego odnosi się głównie do handlu nadbrzeżnego.

— Cena węgla w Anglii zwiększyła się o 7 szylingów na tonnie z powodu nieporozumień przedsiębiorców z robotnikami. Ostatni żądają podwyżki płacy o 20%, na co pierwsi nie chcą się zgodzić.

PRASA RUSKA.

Warsz. Dniewnik pisze (według *Wieku*):

„W numerze wczorajszym naszej gazety w rubryce „Poczta zagraniczna“ pomieściliśmy wyjątki z interesującego i ważnego artykułu monachijskiej *Allg. Ztng*, zawierającego pogląd niemców na politykę „nowego kursu“ odnośnie do poddanych polskich w Prusach.

Niemcy obrażeni do głębi duszy kokietowaniem przez rząd pruski polaków i przejawami polonizmu, następującymi po sobie szybko w krótkim czasie, nadają im tem większe znaczenie, że inicyatywa wychodzi od samego cesarza, który demonstracyjnie wyraża swe zadowolenie Kościelskiemu z powodu głosowania partyi polskiej za kredytami wojennymi i morskimi, to znów wyróżnia Ledóchowskiego, to wzywa polaka Posadowskiego na stanowisko cesarskiego ministra finansów lub publicznie dziękuje polskiej frakcyi parlamentu za jej „patryotyczną“ działalność podczas głosowania nad reformą wojskową i stawia frakcyę tę za przykład niemcom.

Znaczenie i tło tej „patryotycznej“ działalności trafnie ocenia monachijska *Allg. Ztng* z niemieckiego punktu widzenia rzeczy, ale dla nas wydaje się interesującem oświetlenie jej i z innej strony, gdyż oprócz niemieckiego punktu widzenia jest jeszcze ogólno słowiański i czysto polski, do których polakom należałoby stosować polityczną *ligne de conduite*. Polacy do tej pory pozostali tymi samymi, jakimi byli za Napoleona I, który powiedział o nich, „że nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli“; wciąż jeszcze są oni skłonni oddawać się marzeniom niepodobnym do ziszczenia i złudnym iluzyom; i obecnie, kierując się tajemnymi względami, wykrytymi przez monachijską *Allg. Ztng*, do niedawna stanowiąc element opozycyjny w parlamencie niemieckim, zostali pokornymi służkami hr. Capriviego. Nie szkodziłoby jednak, aby bliżej przyjrzeli się surowej politycznej rzeczywistości i zapytali siebie, czy istotnie służą interesom własnego narodu, stawszy się narzędziami polityki niemieckiej?

Polacy poznańscy zostali gorliwymi stronnikami rządu nie za drobne datki, rzucane im od czasu do czasu, lecz są przekonani, że grzeczność pod adresem Kościelskiego i Ledóchowskiego, mianowanie Stablewskiego i Posadowskiego — są tylko zadatkami, dawanymi na rachunek przyszłych pomyślności. Ich pretensye są znacznie większe, mają bowiem nadzieję, że po zwycięzkiej wojnie z Rosyą, tryumfujące i nowymi laurami okryte Niemcy odwdzięczą się im za wierną służbę... utworzeniem ni mniej, ni więcej, jak tylko Królestwa Polskiego w dowolnych rozmiarach. Dotychczas brak pewnych wskazówek, że polacy otrzymali jakieś pewne przyrzeczenie na własny rachunek; jest to jednak bardzo naturalne, że rząd niemiecki stara się utrzymać ich w iluzyi; wszak tylko dzięki partyi agrarnej i polakom rząd przeprowadził osławiony projekt reformy wojskowej, a polacy znów mu są potrzebni do przeprowadzenia projektów finansowych, które stanowią niezbędne dopełnienie projektu wojskowego.

Przyszłość przedstawia się tak: w wojnie z Rosyą Niemcy zostaną zwycięzcami i wtedy, rozumie się, starać się będą osłabić, ile można, „barbarzyńską Rosyę,“ a w celu zabezpieczenia się postarają się między nią a sobą utworzyć bufor, którym ma być nowa Polska, przyjaźnie usposobiona i oddana Niemcom za wyrządzoną jej usługę. Najrozsądniejsi polacy nie przypuszczają, aby Niemcy, pozostające pod hegemonią pruską, zdecydowały się przez sentymentalną wdzięczność osłabić i zmniejszyć Prusy na korzyść nowej Polski i podarować jej terytorya pruskie, pochodzące z zaboru pruskiego; według ich widzenia rzeczy przyszła Polska składać się będzie z przestrzeni zabranych Rosyi, których jądrem ma być kraj przywiślański. Nie będziemy wdawać się w szczegóły nowej karty geograficznej, rysującej się w płomiennej wyobraźni polskich zakordonowych *desperodes*, lecz rozpatrzmy się w polskich marzeniach z punktu widzenia realnej polityki. Zauważywszy mimochodem, że nieostrożnie i przedwcześnie bywa dzielić się skórą niedźwiedzia, dopóki on nie jest zabitym i że zbyt optymistycznem jest przypuszczenie, iż Niemcy napewno zwyciężą w przyszłym konflikcie europejskim, wyobraźmy sobie jednak razem z polakami, iż Niemcy istotnie zwyciężyły i odłączyły od Rosyi bardzo obszerne terytorya. Skąd tedy wniosek, iż Niemcy spieszyć się będą z urządzeniem polskiego buforu i nowego państwa dla polaków? Teorya buforów — produkt angielski — nawet na własnym gruncie okazała się niepraktyczną, o czem świadczy rozwój wypadków w Azyi środkowej i Indo-Chinach.

(D. n.)

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Na Pradze powstaje dom zarobkowy, w którym początkowo znajdzie zajęcie 50 kobiet i tyleż mężczyzn, zajmować się będą szyciem wyplataniem mebli, skubaniem włosia i pierza itd. — wogóle robotami, niewymagającemi specyalnych warsztatów. Żywieni będą w sąsiednim przytułku noclegowym. Otwarcie nastąpi w końcu września.

— Do książek obrachunkowych robotników mają być zapisywane tylko potrącenia za dni przepróżniaczone i niesumienną robotę, o szkody zaś fabrykant może się procesować sądownie. (*Grażdanin*).

— Czas prawomocności przepisów o pracy małoletnich i kobiet w fabrykach przedłużono do października r. p. (*Prawit. Wiest.*).

— Schronienie dla nauczycielek będzie przeniesione z Królikarni na ul. Złotą.

— Straże ogniowe ochotnicze: piotrkowska, nowo-radomska, częstochowska, kaliska, kutnowska i konińska przystąpiły do związku straży ochotniczych w Cesarstwie. (*Gazeta kielecka*).

— W niektórych miejscowościach gub. kowieńskiej wprowadzono obowiązkowy meldunek osób przyjezdnych i wyjezdnych. (*Praw. Wiest.*).

— Gromady włościańskie otrzymają kredyt krótkoterminowy na wznoszenie składów zbożowych i pod zastaw zboża. (*Peterb. Wied.*).

— Do majątku Strokowa (około Popielni gub. kijowskiej) sprowadzono z gub. orenburskiej 18 wielbłądów, dla zużytkowania ich siły pociągowej przy gospodarstwie rolnem. Podobny zamiar powziął również jeden z obywateli gub. mińskiej. Wielbłąd orenburski kosztuje z dostawą do Kijowa 60 do 70 rs.

— Taksa obowiązująca dla lekarzy będzie zależną od stopnia zabudowania miast. Ludność podzielono według stanowisk społecznych na 3 kategorye; opłata za wizytę lekarską wyniesie, stosownie do stanu, od kop. 30 do 5 rs. (*Peterb. Wied.*).

Szkoły. W gimnazyum męzkim w Częstochowie Podwyższono opłatę wpisowego z 40 do 45 rs. rocznie.

— Na uniwersytet paryski uczęszczało w r. z. 423 studentki (głównie na wydział medyczny), w liczbie których 112 pochodzi z Rosyi. Szkoła farmaceutyczna posiada 14 kobiet.

— Ministeryum dóbr państwa zamierza utworzyć szkołę rolniczą dla kobiet. (*Birz. wied.*).

— Główny zarząd poczt i telegrafów postanowił sposobem próby zorganizować przy zarządach pocztowo-telegraficznych kursy języków francuskiego i niemieckiego, dla obznajmienia z nimi swoich urzędników. Trwać mają od roku do półtora bez orzerwy. Godziny wyznaczać będzie naczelnik okręgu pocztowo-telegraficznego.

Zdrowie publiczne. Władza sanitarno-wykonawcza ma prawo żądać usunięcia się mieszkańców z domów nie posiadających ustępów. W razie oporu może nastąpić nawet rozbiórka niehygienicznych budowli. Tego rodzaju sprawę wytoczono niektórym właścicielom domów w Siedlcach. (*Siedleckija gub. wied.*).

— Przy kancelaryach cyrkułowych w Warszawie wprowadzone będą czasowe dyżury lekarskie. W razie nagłej potrzeby dyżurujący wzywani być mogą telefonem.

— W Łodzi urządzono 6 stacyj cholerycznych, a odpowiedni szpitał zaopatrzono w aparaty dezinfekcyjne. Lekarze wolnopraktykujący zobowiązali się nie wyjeżdżać z miasta.

Wypadki. W Łodzi spłonęła przędzalnia Dobranickiego.

— Odesę nawiedziło trzęsienie ziemi.

Zmarli. K. Wurzbach, autor biograficznej encyklopedyi cesarstwa austryackiego.

— E. Cohnfeld, autor wielu powieści, nowel i humoresek, znany pod pseudonimem „Signor Domino“ i założyciel *Berlińskiego Figara*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Niecierpliwemu. Bywał.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Августа 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.